NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 3

ANTONI SŁONIMSKI
JÓZEF WITTLIN
KAROL ESTREICHER
STEFAN THEMERSON
MAREK CELT
DOROTA FALSKA
MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI
MIECZYSŁAW LISIEWICZ
JIM POKER
MAGDA STRYJEŃSKA
ALEKSANDER JANTA

LONDYN
MARZEC
1945



Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne
Kolacje z tańcami
Kuchnia i ciastka domowe
Orkiestra kontynentalna
Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1
Tel. MAYfair 0826

VANĚK zaleca klientom oswobodzonych krajów zaopatrzenie się w kostiumy, palta na spodzie futrzanym i t. d. z najlepszych angielskich materiałów.
Wszelkiego rodzaju futra i reperacje.
Na składzie są futra męskie.

V A N Ě K
4, WILLIAM STREET,
KNIGHTSBRIDGE, S.W.1
a także w Bournemouth

ZA WASZĄ I NASZĄ WOLNOŚĆ

Antologia polskiej myśli demokratycznej

PRACA ZBIOROWA

pod redakcją

Prof. Manfreda Kridla, Wlad. Malinowskiego i Józefa Wittlina

Wydanie Polskie
448 stron

Wydanie Polskie
Cena 21 szylingów

SKŁAD GŁÓWNY W „NOWEJ POLSCE"

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.
59 Knightsbridge, London S.W.1
Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV | NEW POLAND MONTHLY | ZESZYT 3

LONDYN | MARZEC | 1945

ANTONI SŁONIMSKI

POETOM

Biada tym, którzy w naród patrzą, nie w emblemat,
I widowisk nie czynią ze swojej rozpaczy,
I w ojczyźnie coś więcej widzą niźli temat.
Biada im jeśli myślą i myślą inaczej.

Biada tym, którzy gminnych nie pomni prawideł,
Kramów swoich nie chwalą ani sztuk nie czynią,
I na sprzedaż jarmarcznych nie niosą świecideł.
Dalecy ich nie dojrzą a bliscy obwinią.

Biada tym, którzy nie chcą na codzień jak słudzy
Stroić cudzej wygody w romantyczne płaszcze,
Bo jedni ich odtrącą, nie pojmą ich drudzy.
Biada tym, którym nigdzie żaden tłum nie klaszcze.

Biada tym, co ze wzgardą nie zżyci zamłodu,
Uczą się jej dopiero, brzemię czasów trudnych
Dźwigając w samotności, z dala od narodu,
Pośród wrogów podstępnych, przyjaciół obłudnych.

ÓZEF WITTLIN

O WOLNOŚCI SZTUKI

Gdy mówimy o wolności sztuki, musimy z góry ustalić, że chodzi nam o sztukę, jako funkcję, a nawet misję społeczną. Czym jest wolność? Wszyscy ją czujemy, zwłaszcza, gdy nam jej brak. Wolność jest jak zdrowie. Istnieje tylko jeden gatunek zdrowia, nieciekawy dla badacza. Za to chorób mamy bez liku i one to stanowią przedmiot badań lekarskich. Choroby — to zamachy na zdrowie. Podobnie interesują nas liczne i różnorodne zamachy na wolność, w tym wypadku: na wolność sztuki.

Zagadnienie wolności jest w odniesieniu do sztuki aktualne tylko wtedy, gdy chodzi o jej rozwój. Co to jest rozwój? To przechodzenie od jednej formy do innej, to rozszerzanie zakresu treści, idei, to — powiększanie inwentarza zjawisk oraz środków ekspresji. A zatem, gdy mówimy o rozwoju sztuki, chodzi nam o jej nowość, na której zależy zarówno artyście jak i publiczności. Rola publiczności jest tutaj dość niewyraźna, gdyż publiczność jest konserwatywna w swym smaku i niechętnie rozstaje się ze swymi przyzwyczajeniami estetycznymi, z drugiej zaś strony zdradza nienasycony głód nowości. Wszelkie nawyki i gusta publiczności, tworzą, lub raczej organizują sami artyści. Narzucają oni opinii smak i styl, do których ona mniej lub więcej szybko się przyzwyczaja i które z czasem asymiluje. Artysta kontroluje wrażliwość publiczności, co pewien czas odnawiając tę wrażliwość, niekiedy gwałtownymi metodami. Tak, iż po pewnym czasie publiczność przyjmuje za swoje te kryteria, które jej ojcowie odrzucali z oburzeniem. Jest to proces normalny, niemal od początku dziejów każdej sztuki.

Różne znamy rodzaje skrępowania sztuki zarówno przez opinię publiczną, jak i przez organy administracji państwowej. Państwo dokonywa zamachów na wolność sztuki przeważnie we własnym interesie, bądź w interesach t.zw. moralności publicznej, której pilnuje niekiedy na spółkę z religią. Klasycznym przykładem takiego zamachu był proces, wytoczony Gustawowi Flaubertowi za jego „Madame Bovary". Pamiętamy argumenty zarówno oskarżenia jak i obrony, której udało się to arcydzieło sztuki pisarskiej, jakim jest „Madame Bovary" uchronić od konfiskaty, a jej autora, oraz współodpowiedzialnych za publikację: redaktora „Revue de Paris" i drukarza — uniewinnić.

W niepodległej Polsce, za naszej pamięci, rzadkie były procesy tego typu, za to—jak w każdym szanującym się społeczeństwie—zdarzały się całkiem smakowite skandale. Skandal — to konflikt sztuki z opinią publiczną. Skandal — to drożdże życia publicznego, to dźwignia postępu, to pieprz i imbir życia intelektualnego. Każdy niemal twórczy (a nie naśladowczy) artysta, od czasów starożytnych, aż po nasze, gorszył bądź to przez drażliwe tematy, bądź przez wyzywającą formę, w jaką przeoblekał tematy spokojne i „niewinne". Bywają epoki, w których opinia publiczna zostawia artystom zupełną swobodę tematów, pod warunkiem, że uszanują uświęcone przyzwyczajeniem formy ekspresji. I przeciwnie znamy takie epoki, kiedy opinia publiczna oraz kierujące nią czynniki pozwalają artystom na najdziksze swawole stylu i techniki, pod warunkiem wszakże, że pewnych, drażliwych (dla Kościoła, Państwa, dla panującej ideologii i t.d.) tematów nie będą poruszali, albo też będą poruszali, ale jedynie w nakazanej i określonej postaci. Taki właśnie przykład zaobserwowaliśmy we Włoszech, za reżymu faszystowskiego. Reżym ten, mimo pozorów rewolucyjnych tradycjonalistyczny, wywindował na piedestał oficjalnego stylu nowego Imperium Romanum krzykliwy, w stosunku do całej minionej sztuki włoskiej destrukcyjny, — futuryzm. Natomiast co się tyczy treści — reżym faszystowski nie tylko tępił tematykę drażliwą pod względem politycznym i społecznym, ale nawet niewygodną dla siebie pod względem

— psychologicznym. Tępił więc w sztuce przejawy pesymizmu, jako niezgodne z urzędowym entuzjazmem. (Sprawa z powieścią Borgose: „Rube" i z powieściami Alberto Moravia). Tam, gdzie władze świeckie i kościelne zostawiają sztuce całkowitą swobodę, jest ona narażona na ostrzejsze zamachy opinii, posługującej się niekiedy bojkotem i ostracyzmem, czyli mówiąc po polsku: zatruwaniem życia niegrzecznym artystom.

Jakkolwiek więc na wolność sztuki zewsząd czyhają niebezpieczeństwa w postaci sił, zagrażających jej rozwojowi, mimo to artyści nie przestają tych sił wyzywać. Nie rezygnują oni z naczelnego swego przywileju i głównego imperatywu sztuki, którym jest właśnie zajmowanie się tematami drażliwymi lub też kształtowanie tematów niedrażliwych w nowej, niepokojącej formie. Bo gdy rezygnują, — stają się bawidamkami społeczeństwa lub reżymów.

Nie każde społeczeństwo gorszy się i obraża tym samym. W jednych społeczeństwach wolno sztuce traktować z lekceważeniem ustrój społeczny, instytucje państwowe, wolno karykaturować i wyśmiewać najwyższych przedstawicieli władzy, wolno swobodnie igrać tematami religijnymi, natomiast nie wolno swobodnie pisać o związkach małżeńskich, zawieranych między ludźmi o białej i czarnej skórze. Inne społeczeństwa pozwalają swym białym córkom wychodzić za mąż za Murzynów, gorszą je natomiast zboczenia seksualne popełniane w obrębie tego samego koloru. A znów inne państwa i społeczeństwa, jak to na przykład było w przedwojennej Polsce, pobłażały sztuce, przedstawiającej najdziksze zwyrodnienia Erosa, byleby ten Eros był rzetelnie nagi lub chadzał w cywilnym ubraniu. Biada natomiast artystom, którzy ośmieliliby się dotknąć Marsa, choćby w mundurze wachmistrza kawalerii. W związku z tą nadwrażliwością „wojskową" w przedwojennej Polsce pamiętamy sprawę ś.p. Zbigniewa Uniłowskiego oraz zamachów na jakie ten bardzo utalentowany, przedwcześnie zmarły autor naraził się zarówno za życia jak i po śmierci. Pamiętamy interwencję niektórych czynników wojskowych w przedwojennej Polsce w sprawy literatury. Mylnym wszakże byłoby mniemanie, jakoby między sztuką a społeczeństwem czy opinią publiczną istniała jakaś wyraźna linia demarkacynjna. Artyści stanowią część społeczeństwa i przeważnie pragną mu się podobać, pragną żyć i prosperować. Często też jedni artyści zwalczają drugich, i znamy w dziejach całe wojny odmiennych szkół artystycznych, jak na przykład słynny spór między romantykami polskimi a klasykami ale takie konflikty są produktywne i świadczą raczej o żywym ruchu artystycznym.

Domagając się zupełnej swobody zewnętrznej dla rozwoju sztuki, nie zapominajmy, że jednocześnie z tą swobodą niezbędne jest i skrępowanie, ale jedynie takie, które artysta sam wobec siebie stosuje. Sztuka byłaby anarchią, gdyby nie podlegała prawom i regułom, i tym samym przestałaby być sztuką. Artysta stwarza sam dla siebie prawa, albo też przyjmuje je od innych artystów. Nawet gdy na pozór się wydaje, że mamy do czynienia z anarchią, przy dokładniejszym przyjrzeniu się danemu dziełu sztuki, okazuje się, iż działają tam ścisłe, surowe choć nieznane dotąd rygory. Tak np. Stefan Mallarmé we Francji, a za nim liczni jego zwolennicy na całym świecie usunęli z swych poezyj wszelkie znaki przystankowe. Stało się to dla nich nowym prawem, którego przestrzegają sumiennie. Tak iż nagłe pojawienie się przecinka w wierszu np. takiego Louis'a Aragon'a byłoby bezprawiem. Ale dziś nikogo to już we Francji nie gorszy, że ten Aragon w swych poematach, które stały się pieśnią narodową Francji po roku 1940, nie używa ani kropek ani przecinków.

Widzimy więc, że artyści sami organizują smak publiczności i narzucają jej przyzwyczajenia. Artyści to niewierni Tomasze. Własnymi rękami dotykają ran boskich i ludzkich. Świat jest jedną wielką krwawiącą raną, a jeśli sztuce zabroni się o tej ranie mówić, życie na tej ziemi stanie się nie do zniesienia. Świata sztuką nie zmienimy (chociaż niekiedy zdarzały

się i takie wypadki) ale możemy sobie i drugim sprawić ulgę a nawet radość, pokazując jego udręczenia transponowane na sztukę. Nie stawiajmy więc żandarmów przed niewiernymi Tomaszami, i nie podpatrujmy ich, jak zanurzają ręce w krwi.

KAROL ESTREICHER

PAN SZYMAŃSKI

— Czemu w Krakowie jest tyle historii? — zapytałem Krzysi.

Namyślała się. Pytanie było trudne i właśnie dlatego zadałem je Krzysi. Dziwiłem się dlaczego wszyscy przy nas mówili o przeszłości, dlaczego zwyczaje, tradycje, podania i legendy, rocznice i pochody były jakimś koniecznym uzupełnieniem życia. Na każdym kroku spotykałem wspomnienia ludzi, rzeczy i wypadków, które działy się kiedyś i dlatego pytałem rodziców, ciotek, babki, skąd tyle historii jest w Krakowie i jakoś nikt nie dał mi odpowiedzi. Teraz spytałem Krzysi.

Ona, autorytet najwyższy mego dzieciństwa namyśliwszy się rzuciła:

— Przecie wiesz, że „nie od razu Kraków zbudowano".

Lecz nawet ona nie rozwiązała pewnego kompleksu mego dzieciństwa, który zdaje się być zagadką nierozwiązalną. Trudny on do przedstawienia dlatego, że prócz historii łączy się z pożyciem moich rodziców.

Rodzice nie sprzeczali się nigdy, a przynajmniej nie sprzeczali się przy nas. Nie pamiętam między nimi scen, które by moje dzieciństwo napełnić miały smutkiem. Jeśli istniały między nimi różnice, to musiały one mieć miejsce wtedy gdy matka szła do pokoju ojca i zamykając za sobą drzwi mówiła że ma mu coś ważnego do powiedzenia. Szła tam poważna i stanowcza, ale wychodziła uśmiechnięta i pogodna. Być może czyniła to trochę sztuczniej niż zazwyczaj, ale to spostrzegłem dopiero później, starszym będąc.

Nie spierali się ani w zakresie swego życia, ani o sprawy domowe, ani o przyjaciół, bo wreszcie nie bardzo mieli o co się spierać, skoro lubili sobie ustępować i to z tą przyjemnością, której sensu pojąć nie umiałem. Krzysia także ustępowała Ewie i mnie, ale okraszała swe ustępstwa przysłowiem, co psuło radość zwycięstwa. „Mądry głupiemu zawsze ustępuje" — mawiała i pełna mądrości usuwała się od zabawy. Bo Krzysia była mądra, naprawdę mądra.

Matka twierdziła, że we wszystkim ma poglądy zgodne z ojcem i długo wierzyłem, że tak było istotnie. Nie sprzeczała się z nim o politykę, ani nie dyskutowała z jego przyjaciółmi, co najwyżej zadając pytania tonem nieświadomym i przypadkowym, zawsze wtedy gdy dyskusja bywała najgorętsza i ktoś z mówców unosił się zapałem. I znowu długo wierzyłem, że nie zna się na polityce, przypuszczając, że ma ważniejsze sprawy do prowadzenia, dotyczące domu i rodziny, naszej nauki, zdrowia Krzysi i mojego zachowania się.

Istniał jednak temat, o którym mówiła nam w sposób odmienny od ojca, a nawet w sposób sprzeczny z tym co on głosił. Spostrzegliśmy, że temat ten jednako był im bliski, bo odmienne przekonania wpajali nam z jednaką siłą. Nie czynili tego nigdy razem i nigdy nie śmiałem ich zapytać dlaczego tak postępują. Tematem tym było powstanie styczniowe.

Za parę miesięcy przypadała jego pięćdziesiąta rocznica. Mówiono o nim więcej niż kiedykolwiek, przypominano nam różne epizody i zdarzenia, a organizacja weteranów na Biskupiem powiększyła się o kilkunastu członków. Chodzili w granatowych mundurach, z długimi siwymi brodami i dzwoniąc puszkami zbierali pieniądze na Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Gdy ojciec o powstaniu mówił niechętnie, gdy wykładał, że sprowadziło klęskę, że wojna była źle zamierzona i przedwczesna, wiedziałem skądinąd, że powtarzał to co mówił mu jego ojciec. Dziad Karol odnosił się z goryczą do powstania, a bronił gorąco Margrabiego. Wszak Wielopolski sprowadził go do Warszawy, oddał mu w zarząd uniwersytecką bibliotekę i ofiarował katedrę w Szkole Głównej, darząc swym zaufaniem i przyjaźnią. Powstanie obaliło nadzieję dziadka związaną z odrodzeniem Królestwa przez samorząd i szkołę. Lat klęski, które powstanie sprowadziło dziadek nie zapomnial choć nie stracił w nim nikogo. „Nikogo? — odparła babka Stefania — no jakże przecież stracił swoją Szkołę Główną”.

Gdy matka z kolei o powstaniu opowiadała z zapałem, gdy podnosiła chwałę i znaczenie tego protestu, który drogo kosztował, ale zwrócił uwagę świata wiedziałem, że powtarzała to co wiedziała od swego ojca. Bo dziad Franciszek Longchamps chętnie prawił o powstaniu, a z uwielbieniem mówił o swym przyjacielu Agatonie Gillerze. Spiskował kiedyś w jego organizacji, za jego wpływem dołączył się do partii skąd rany chwalebne przyniósł i niezłomne przekonanie, że walkę prowadzić trzeba dalej. W domu dziadków Longchampsów powstanie było świetnym wspomnieniem, choć poginęli bracia, a przyjaciele poszli na Sybir. Babka Wanda czynna niegdyś w lwowskim związku Klaudynek, Krzysi, Ewie i mnie opowiadała nieraz o owej walce, która obowiązkiem była każdego Polaka. „Taki los wyznaczył Bóg Polsce i Polakom i pamiętać o tym musicie” — mawiała.

Kto z rodziców mych miał rację nie wiedziałem, ale wcześnie zrozumiałem, że na noc styczniową mają odmienne poglądy, od swoich rodziców dziedziczone i że zapewne dlatego nigdy wspólnie przy nas nie rozmawiają na ten temat. Pamiętam, że gdy pierwszy raz zauważyłem owe różnice i niezgodności, nie umiałem ich określić. Potem z biegiem lat miałem ich zauważyć coraz więcej.

Wuj Bogusław żenił się w Krakowie i z tego powodu dziad Franciszek Longchamps przyjechał i zamieszkał u nas. Stwierdził luki w moim wykształceniu.

— Znasz ten wiersz? — spytał tonem rozkazującym, który wzbudzał mój podziw.

— Nie — odparłem zawstydzony.

— To powtórz i zapamiętaj, na całe zapamiętaj życie...

Brzmiało to tajemniczo, jakby jakaś przysięga spiskowa. Powtórzyłem wiersz po wierszu powstańczej piosenki:

—„Kto mi powie że Moskale
„Są to bracia nas Lechitów,
„Temu pierwszy w łeb wypalę
„Przed kościołem Karmelitów”.

Właśnie w tym czasie ksiądz Reformata przygotowywał Krzysię i Ewę do pierwszej komunii a mnie wolno się było przysłuchiwać nauce katechizmu. Otóż pamiętam, że kazał nam zapamiętać i także na całe życie, że wszyscy ludzie są braćmi bez żadnej różnicy. Lecz dziadka nie śmiałem pytać o brak zgodności w tych sprawach. Wolałem Krzysi:

— Moskal jako człowiek, — odparła — kiedy jest goły jak na przykład nowonarodzone dziecko oczywiście, że jest bratem, ale jak się ubierze w carski mundur to już nie...

Dziadek Longchamps miał wiele spraw do załatwienia w Krakowie w związku z niedaleką rocznicą powstania. Wziął mnie na miasto, zaprowadził do sklepu pana Szczurkowskiego gdzie pełno było pięknych zabawek i pozwolił wybrać jedną.

— Kupię ci co chcesz, żebyś wiedział żem dziad twój Longchamps...

Takiej oferty nikt mi jeszcze nie postawił. Ojciec kupował prezenty oszczędne, matka praktyczne, babcia Stefania dawała prezenciki własnej

roboty, ciotki prezenty nie psujące się, przyjaciele domu obdarzali nas najczęściej słodyczami. Jeden dziadek Longchamps zrozumiał moje utajone pragnienie, żebym w sklepie z zabawkami wybrał sobie jedną, ale taką która mi się podoba...

Zawirowały w mych oczach przedmioty. Konia na biegunach miałem i był jeszcze całkiem dobry choć mu wióry z brzucha leciały, wózek miałem, także strzelbę, loterię, kolej na szynach. Kuchnię i teatr miały siostry. Ale ani Ewa ani Krzysia nie miały automobilu w który można siąść i jeździć naciskając pedały nogami. Automobil miał czerwone siedzenie z oparciem i prawdziwą kierownicę. Mama powiedziała mi że to bardzo droga zabawka i że mi jej nie kupi. A teraz dziadek pozwolił sobie wybrać co chcę. Obiecał zapłacić. Więc spytałem:

— Dziadziu jabym chciał bardzo mieć taki automobil?

A dziadek spojrzał na mnie bystrym wzrokiem, w którym dojrzałem nie tyle zdziwienie ile co gorzej jakiś błysk pogardy:

— Ten wózek? Wygląda jak wózek dla niemowląt.

I zaraz obrzydził mi automobil.

To dobre dla kobiet, ale ty mężczyzna automobilem będziesz na wojnę jeździł? Wojny się tymi modnymi pyrkaczami nie będzie prowadzić. Czy masz konia?

— Mam.

— To tym bardziej nie potrzeba ci takiego wózka. Szablę masz?

— Mam. Franuś mi wystrugał na wakacjach.

— Ee... tam z szabla z patyka. Czy masz prawdziwą szablę, karabelę? Bo Polacy biją się karabelami.

Brzmiało to wspaniale. I jak to wypowiedział. Z jaką mówił emfazą i z jakim błyskiem w oczach.

I już pan Szczurkowski wyciągnął skądyś małą karabelę, ale zupełnie jak prawdziwą i już dziadek wyjął ją z aksamitnej pochwy i z takim zapałem popróbował ostrza jakby ją dla siebie kupował. I pogardziłem automobilem, a chciałem paradować z karabelą.

Poszeptał z panem Szczurkowskim, zaszeleścił tęczowy papierek banknotu, do nóg kłaniał nam się kupiec gdy z karabelą u boku wychodziłem ze sklepu obok dziadka.

Dziadek szedł wyprostowany, z głową wzniesioną do góry, wysoki, marsowy trochę. Surdut na nim był szczelnie zapięty, brodę miał równo przystrzyżoną, a wąsa od czasu do czasu podkręcał. Kraków wydał mu się mały po stołecznym Lwowie, a ludzie jacyś cisi i zamyśleni.

Nagle spojrzał na mnie i ostro krzyknął ażem się przeląkł:

— Z której ty strony szablę nosisz?

Przypiąłem ją na paskach u prawego boku. Jakoś tak było mi wygodniej.

Próbowałem się wytłumaczyć. Uznałem że najlepiej będzie powołać się na autorytet ojca.

— Tata zawsze w prawej ręce nosi parasol bo w lewej trzyma teczkę z książkami.

A dziadek westchnął:

— Zaraz znać — tu przerwał jakby myśl zmieniał — żeś między siostrami wychowany...

Bo dziadek Longchamps ucząc mnie tradycji styczniowej dbał by nawet zabawy były nią przepojone. Tego dnia po południu gdy wrócił od pana Mariana Dubieckiego, u którego był jak mówił „zameldować" swą bytność w Krakowie opowiadał nam o tym ostatnim członku Narodowego Rządu który był żywą tradycją powstania. Istotnie znaliśmy z widzenia Dubieckiego, dyrektora Kursów Dokształcających Baranieckiego. Widywaliśmy go na obchodach trzecio-majowych jak kroczył na czele powstańców w wielkiej bundzie i w rogatywce. Dziadek Longchamps opowiadał o nim, że skupia wokół siebie powstańców przeszłych i przyszłych i że

działalność jego ani na chwilę nie ustała. „Nie tak jak innych" — dodawał nie bez żalu.

Owo „nie tak jak innych" — wiedziałem do kogo się odnosiło. Gorszył się dziadek tymi powstańcami, którzy od idei powstania odeszli, o powstaniu mówili niechętnie i nie wspominali tego co zdziałali w przeszłości. Istotnie była w tym pewna niekonsekwencja, że stary profesor Tretiak „wstydził się", jak dziadek się wyraził o nim, swej rewolucyjnej przeszłości. Kiedyś jako młody student kijowski na rozkaz Rządu Narodowego drukował i rozdawał po wsiach ukraińskich „Złotą Hramotę" obwieszczającą wolność chłopom, a potem nigdy do tej przeszłości nie chciał wrócić, nigdy nie chciał z Dubieckim razem wznowić prac około nieprzerwalności powstania.

Takich niekonsekwentnych rewolucjonistów było w Krakowie więcej. Nie bez pewnej satysfakcji opowiadała ciotka Wanda o pani Pelagii Dąbrowskiej przed laty niebezpiecznej rewolucjonistce, która wraz z mężem Jarosławem Dąbrowskim walczyła na barykadach komuny paryskiej. Dąbrowska osiadła w Krakowie i była w jednej ze szkół żeńskich damą klasową gdy wybuchł tam spór o nauczanie religii. Mimo rewolucyjnych przekonań Dąbrowska toczyła walkę właśnie z tymi, którzy naukę religii usunąć ze szkoły chcieli.

Lecz największe rozczarowanie, którego długo zrozumieć nie mogłem, przeżyłem w związku z Sybirem i Sybirakami. Dziadek Longchamps mówił nam o Sybirze, zaprowadził nas na wystawę obrazów Sochaczewskiego, gdzie uczył i opowiadał o cierpieniach skazańców polskich. Bawiliśmy się nawet w Sybir (znowu za namową dziadka) która to zabawa polegała na siedzeniu „w budach" skleconych z krzeseł nakrytych kocami. Dla większego wrażenia czytała nam Krzysia opowiadanie o Srulu z Lubartowa, tęskniącym na Syberii za Polską. Starannie tłumaczyła nam wszystkie szczegóły.

I jakoś niedługo po wizycie dziadka zjechał do nas gość niezwykły, który na Sybirze przebywał. Gdy usłyszeliśmy o tym, pamiętam, że długo naradzałem się z siostrami i pytałem rodziców.

Wuj Kazimierz, kuzyn ojca a syn stryja Antoniego, doktora z Warszawy był nieudałym członkiem rodziny. Nieudałym ponieważ nie skończył uniwersytetu i zamiast osiąść na miejscu wolał włóczęgę po świecie, zarabiając dużo a wydając jeszcze więcej. Aż wreszcie znalazł się na Syberii gdzie pisał, że dobrze mu się wiodło.

— Pewnie blaguje — powiedziała ciotka Helena i zaczęła opowiadać o awansie swego syna w Izbie Skarbowej.

Wuj Kazimierz donosił, że najpierw był kupcem, potem budowniczym, potem myśliwym, a że niedługo chce przystąpić do poszukiwania złota. Nie wiem ile prawdy było w tym wszystkim, ale jego długie listy pełne były ciekawych szczegółów.

Wuj Kazimierz był pierwszym człowiekiem o którym słyszałem, że „uciekł na Sybir" a nie do Ameryki. Zawsze opowiadano nam o ucieczkach z Sybiru i znałem wspaniałą historię Rufina Piotrowskiego. Lecz o tym by ktoś z Warszawy przed dokuczliwymi dłużnikami „uciekł na Sybir" nie słyszałem.

— Tam z niego zrobią człowieka — stwierdziła z pewną przyjemnością ciotka, która nieopatrznie pożyczyła mu pieniądze.

Wuj Kazimierz zjawił się w kraju, bo odziedziczył jakiś spadek.

— Taki ma zawsze szczęście — westchnęła ta sama ciotka.

— Tylko nie w kartach — dodał ojciec...

Przyszedł do nas wczesnym popołudniem. Wysoki blondyn, we futrze włosem na wierzch, w czapie baraniej. Mówił przeciągle z rosyjska, głosem donośnym. Matce ofiarował pudło kandyzowanych owoców, a od ojca po krótkiej chwili pożyczył setkę, którą obiecał wrócić gdy tylko spadek otrzyma.

Gdy nas uścisnął powiedział:
— Moje raki akurat takie jak wy.
— Co to ożeniłeś się, masz rodzinę? — spytała matka.
— Ożeniłem się a jakże, tylkom jeszcze nie zdążył dopełnić formalności.
Potem zaczął narzekać na zimno w Krakowie i na katar, który tu złapał. Na Syberii ani w Tomsku, gdzie prowadził sklep, ani w Krasnojarsku gdzie był przedsiębiorcą budowlanym, ani w Jakucku gdzie ostatnio przebywał, takiej wilgoci i zimna i mgieł na jesieni nie bywa.
— Mróz chwyci, rzeki zetnie, w piecach się pali, kożuch się kładzie i jest ciepło — stwierdził.
Chwalił sobie Syberię. Odkąd kolej zaprowadzono, o zarobek nie było tam trudno byle się umiało kombinować.
W jego opowiadaniu wszystko wyglądało inaczej. Ludzi było tam mało i kto tylko znalazł się na Syberii musiał zarobić, choćby i nie chciał. Nawet polityczni — powiedział — jeśli nie siedzą w turmie, to mają zarobki...
— Ale jakoś nie przywiozłeś ze sobą pieniędzy — zauważył ojciec przypominając sobie widocznie świeżą pożyczkę.
— Przywiozłem i pełno, tylko mi od Warszawy nieszczęśliwie karta szła.
Mówił o lasach, o kopalniach złota, węgla, miedzi za Uralem. Sam miał zamiar tam powrócić po uporządkowaniu swych spraw i zająć się kopaniem złota, bo mu się już handel znudził. Spotkał tam Polaka, który był zesłany z Królestwa za 1905 rok i który dorobił się majątku. Razem chcieliby teraz popróbować szczęścia w górnictwie.
Nie wiedział, że swym opowiadaniem przekreślał, wywracał, burzył wszystko co wiedziałem o Syberii. Przedstawiała mi się jako kraj grozy, jako kraj lodu i głodu, a tymczasem on mówił o Syberii jako o ziemi bogatej, gdzie pełno było możliwości, gdzie życie było łatwe i przyjemne. I spostrzegłem, że tak jak na powstanie styczniowe tak samo na Syberię istnieją dwa różne punkty widzenia, wśród których prawdy trudno dojrzeć.
Wzbudził me wątpliwości lecz nie dostarczył mi dowodu. Miałem dzięki niemu i dowód otrzymać. Dowód dziwny.
— Wiozę listy z Tomska do Krakowa do niejakiego profesora Szymańskiego — kończył wuj Kazimierz.
Wiedzieliśmy gdzie mieszka ów profesor Szymański, to znaczy wiedziały siostry i ja. Był to profesor Adam Szymański, pod którego oknami na ulicy Kilińskiego bawiliśmy się często.
Gdy zniesiono kolej cyrkumwalacyjną w Krakowie obiegającą wokół miasto tam gdzie teraz ciągną się aleje Trzech Wieszczów, na stokach starego wału kolejowego saneczkowaliśmy w zimie, a w lecie staczaliśmy się po trawie. Zabaw dostarczał plant kolejowy i dawał sposobność do krzyków, których nie znosił mieszkający obok pan Szymański. Od czasu do czasu wychylał się też z okna i pędził nas precz. Raz posłał za nami stróżkę, która krzycząc brzydkie wyrazy napełniła nas wielkim strachem.
Profesor Szymański był starcem zmęczonym, niezadowolonym, żyjącym w odosobnieniu, w małym mieszkanku na skraju miasta. Widując go często nie wiedzieliśmy, że on jest Adamem Szymańskim autorem „Szkiców ze Syberii", autorem „Srula z Lubartowa", nie wiedzieliśmy tego bo mało kto o tym pamiętał w Krakowie.
Później znacznie miałem poznać więcej szczegółów z jego życia.
Szymański jak tylu wygnańców syberyjskich i popowstaniowych tułaczy osiadł w Krakowie, gdzie poświęcił się pedagogii. Łączyła go od tamtych czasów przyjaźń ze Stanisławem Witkiewiczem i Konradem Prószyńskim i jak oni z twardej szkoły życia syberyjskiego wyniósł radykalizm poglądów oraz niecierpliwość reform społecznych. Galicja, Kraków, ustabilizowane konserwatywno-liberalne stosunki drażniły go, tak jak tylu udzi jego pokolenia. Wierzył w oświatę, był przekonany o konieczności

nowych metod nauczania i pracy nad ludem, a spotkał się w Galicji ze stosunkami, których nie rozumiał. Z Syberii przyniósł wyidealizowany obraz ojczyzny, któremu życie codzienne przeczyło. Nie pisał wiele, bo pisarzem właściwie nie był lecz działaczem oświatowym. Od czasów ogłoszenia „Szkiców" zamilkł. Wokół niego szalała Przybyszewszczyzna, Młoda Polska wystąpiła ze swym symbolizmem, Wyspiański poruszył wyobraźnię, Żeromski wstrząsnął sumieniami, „Szkice ze Syberii" — weszły do czytanek szkolnych, ale na głos ich autora żądający świetlic ludowych, większego upowszechnienia szkół, zreformowania metod pedagogii mało kto zwracał uwagę. Więc cofnął się w zacisze życia, nie mogąc się pogodzić z jego rzeczywistością. Gorzkniał. Gdy przed śmiercią odwiedził go mój ojciec zastał starca narzekającego na społeczeństwo, niechętnego otoczeniu, które za mrzonki miało to co on głosił. Idealizm „Ziemli i Woli" raz jeszcze w zetknięciu z życiem przegrywał.

I oto teraz wuj Kazio wyciągnął list w niebieskiej kopercie po rosyjsku zaadresowany i mówił:

— Gdzie też to mieszka ten profesor Szymański. Od znajomych z Tomska list mam do niego.

List był od doktora Dąbrowskiego, który kiedyś razem z Szymańskim przebywał nad Leną a potem osiadł w Tomsku gdzie był znanym lekarzem.

Poszedłem razem z syberyjskim wujem do pana Szymańskiego, wskazując drogę. Nie było to zresztą daleko. Zaraz za ulicą Karmelicką, na ulicy Kilińskiego mieszkał profesor Szymański.

Weszliśmy. Było szare popołudnie jesienne i stróżka mnie nie poznała. W mieszkaniu było pełno książek i wydawnictw, które własnym nakładem wydawał Szymański, a które dotyczyły spraw szkolnych i Towarzystwa Zreformowania Nauczania i Wychowania.

Wyszedł do nas niosąc w ręku lampę bo było ciemno. Przywitał nas niechętnie. Wydał mi się jeszcze bardziej niezadowolonym jak wtedy gdy pędził nas od okien, byśmy nie krzyczeli.

Ale wuj Kazimierz od razu serdecznie zaczął:

— Z Syberii jadę do was, listy przywożę od przyjaciół, obiecałem odwiedzić.

Pan Szymański zmienił się, ożywił, jakby duch nowy wstąpił w niego. Postawił lampę na biurku, ręce roztworzył i w ramiona ujął wuja a mnie uściskał myśląc żem wuja syn.

I zaczął pytać ściszonym głosem:

— Uciekliście?

— Nie, przyjechałem do rodziny, odwiedzić, interesy załatwić...

— Ułaskawiony?

— Ja nie był nigdy skazany, ja dobrowolnie tam pojechałem jako przedstawiciel łódzkich firm.

— Ale stęsknił się Pan za Krajem?

— Hm... widzi Pan jakby to powiedzieć, ja lubię podróżować. Całą Syberię przez tych sześć lat objechałem.

Potem oddał list od Dąbrowskiego, który Szymański długo i dokładnie czytał przepraszając nas że czyni to ale list był od jego bliskich przyjaciół. Wzdychał czytając go, przewracał kartki z powrotem, szeptał coś do siebie.

Wreszcie zaczął pytać:

— Kiedyż Pan widział Dąbrowskich ostatni raz?

— Miesiąc temu.

— Miesiąc? Niemożliwe?

— Jakże niemożliwe przecież jechałem z Tomska nie zatrzymując do Warszawy tydzień. Od trzech tygodni jestem w Kraju.

— Ah, tak prawda jechał Pan koleją. Za moich czasów kolei nie było.

— Teraz na Syberii podróż łatwa, wszędzie dojechać można wygodnie.

— A jak tam Polacy?

— Żyją i zarabiają dobrze. Polityczni jeśli nie wracają to dlatego, że się pożenili i mają rodziny. Teraz większa wolność. Niedawno była misja Redemptorystów z Krakowa, która przejechała całą Syberię. Zebrali wielkie pieniądze od ludzi na budowę kościołów. Sam byłem przy tym jak Ostrowski w Tomsku dał im parę tysięcy rubli.

Pan Szymański wypytywał się o wszystko. Niestety wszystko przedstawiało się inaczej niż wtedy gdy on tam przebywał. Sybirak który przybył do niego był inny, nie z tych których on znał i których pamiętał. Wuj Kazimierz opowiadał o kopalniach, o fabrykach Poklewskiego, o kolei, o interesach które robi się łatwo.

Nawet towary się zmieniły. Nawet żywność. Po hotelach i restauracjach rosyjskich żywność była europejska. „Szczyj" wyszedł z użycia.

— Nawet jarzyny są? — dziwił się pan Szymański.

— Szklarnie założyli przy fabrykach, sam taką budowałem.

— A fasola jest?

— Pełno jej jest, amerykańskiej w puszkach.

Przypomniał mi się biedny Srul z Lubartowa, który tak tęsknił za fasolą.

Aż wreszcie się zeszli. Wuj Kazimierz opowiadać mu zaczął o polowaniach, o wyprawie Leną po futra, o długich nocach które mu przyszło spędzać wśród Jakutów. Mówił pięknie i interesująco. Opowiadał jak doczekał wiosny i trzaskania lodów na Lenie.

Szymański pochylił się ku niemu. Twarz jego wyrażała najwyższą ciekawość. Przerywał mu czasem pytając o jakieś szczegóły, lub dorzucając własne spostrzeżenia o brzozach, o górach nad Bajkałem, o zwyczajach ludowych.

Wuj prawił o stepach rozległych bez końca lub o lasach cedrowych. Opisywał mu burze zimowe i ciepło chat i brzozy pączkujące na wiosnę. Znowu wrócili do ludzi, do cyganów i żydów w Kaińsku, do Czukczów, Jakutów, Buriatów na wschodzie. A potem znowu o lasach, o polowaniach, o śniegach, wiosnach i latach — gadał wuj wtrącając jakieś rosyjskie słowa niezrozumiałe dla mnie. Pan Szymański zaś słuchał...

„...I słuchał go cały w słuch zamieniony, z otwartymi usty, z wlepionym wzrokiem, wzrokiem tym palił i podniecał, wyrywał słowa, chwytał je spragniony i kładł głęboko na dnie swego serca gorącego..."

Te dziwne słowa nasuwają mi się same gdy piszę, nie są moje, skądże je wziąłem, gdzież one w literaturze polskiej są zapisane?

Nimi przecież zakończył ten sam pan Szymański swą opowieść o Srulu z Lubartowa.

STEFAN THEMERSON

PÖLÄTÜO

1.

12 września 1862 roku pewna stara panna powiedziała do panów de Goncourt: „Et puis, pourquoi sommes-nous faits en viande?". Usłyszawszy te słowa jego eminencja kardynał Pölätüo odwrócił się z niesmakiem. Ostatnią noc spędził był w pałacyku hrabiny Kostrowitskiej, która, ledwo świt pierwszym promieniem słonecznym przebił kolorowe szybki oberluftu, rzekła: „Mój drogi, jestem pewna, że począłeś we mnie dziecko, chłopca, jeżeli mam być ścisła. Czuję go już w mym łonie i jest moim zamiarem nosić go nie mniej niż siedem lat. Sądzę, że na ogół

nosi się płód za krótko, że wygania go się na świat za wcześnie, co jest niewątpliwie przyczyną braku ludzi talentu. Poza tym, czyż nie da to mi pewności, że w ciągu tych siedmiu lat nie zajdę ponownie, a pewność ta czyż nie uczyni mej myśli lekką i swobodną w tych chwilach, które tego najbardziej potrzebują? Czy nie mógłbyś, mój drogi, ty, który jesteś synem wielkiej Macicy Kościoła, czy nie mógłbyś odprawić małej mszy w celu poparcia mojego wysiłku?"

Kardynał Pölätüo nie wziął był tych porannych zwierzeń na serio; przeciwnie, ucieszył się był nawet, słysząc że został Stwórcą duchowego syna, którego w ciągu dość długiego okresu czasu rozwijać będzie w sobie hrabina. I dopiero słowa starej panny, skierowane do braci de Goncourt, potrząsnęły mocniej jego wyobraźnią: „Czyżby intencją hrabiny było uczynić mego syna z mięsa?" — spytał sam siebie.

2.

W końcu września 1880 roku kardynał Pölätüo otrzymał list pachnący perfumą. Nim rozciął kopertę położył list na biurku i rzekł półgłosem: „Po przeczytaniu tego listu będziemy sobie wyobrażać — (kardynał zawsze mówił do siebie w pierwszej osobie liczby mnogiej, nie tykając nikogo prócz Pana i swego lokaja)—żeśmy mieli przeczucia, żeśmy przewidywali jaką treść zawiera. Postarajmy się *teraz* sprecyzować słowami to, co potem będziemy mieli ochotę nazwać przeczuciem, i powierzmy te słowa skrawkowi papieru, abyśmy się nie stali ofiarą banalnych złudzeń".

I, na marginesie pewnego czasopisma świeckiego, napisał:

„... to od kobiety, która nas prosi o pieniądze — zarządzimy modlić się za nią.

„... to od kobiety, która prosi o modlitwę—każemy posłać jej pieniądze.

„... to od żydówki, która życzy sobie zobaczyć Papieża—napiszemy do niej list.

„... to coś bardzo poważnego — nie uczynimy narazie nic.

„... to coś jeszcze bardziej poważnego — postąpimy w sposób taki, jaki, po przeczytaniu tego listu, uznamy za właściwy.

Za czym wielkimi nożycami do papieru rozciął brzeg koperty i wyciągnął z niej szarą kartkę, pokrytą pochyłym, równym, spokojnym pismem hrabiny K., która donosiła mu o narodzinach pięknego tłustego chłopca imieniem Wilhelm — Guillaume. „Nie chciałabym, żeby Wasza Eminencja wzięła mi za złe to, że nosiłam go o całych jedenaście lat dłużej, niż to było ustalone między nami, mam nadzieję jednak, że W.E. zgodzi się ze mną, iż dla wyprodukowania poety trzeba czasu przynajmniej dziewięć razy dłuższego niż dla wyprodukowania słonia. Et Guillaume n'est pas un élephant, j'en vous assure, il est un Apollinaire".

Przeczytawszy list ten raz jeszcze kardynał rzucił okiem na margines leżącego na biurku czasopisma świeckiego i zastanowił się głęboko nad tym, jakie zająć stanowisko. Czy trzeba modlić się za nią? Czy trzeba jej posłać pieniędzy? Czy trzeba napisać list? Czy nie trzeba uczynić nic? Czy też, przeciwnie, trzeba działać w sposób, który uważa za właściwy?

„Najwłaściwszym sposobem działania w tym szczególnym przypadku jest, być może, powstrzymać się od działania" — powiedział sobie najpierw. Po przeczytaniu listu po raz trzeci doszedł jednak do wniosku, że pozostawienie rzeczy tam gdzie są może się stać niebezpieczne bardziej jeszcze dla Świętej Sprawy niż dla niego.

3.

Gdybyście spytali kardynała Pölätüo o nazwę miasta, w którym się urodził, musiałby jej szukać wśród swych papierów, niezanotowana była bowiem w jego pamięci, pozbawionej śladu wspomnienia, cienia obrazu tego obcego kraju, który matka jego, w tydzień po rozwiązaniu, opuściła

aby udać się do Rzymu. Gdybyście go spytali natomiast kiedy to szczęśliwe zdarzenie miało miejsce, odpowiedziałby z wielką ścisłością.

Kardynał Pölätüo urodził się pierwszego dnia roku 1822 i został ochrzczony nazajutrz.

Nie zgadzam się z tymi historykami, którzy roku 1822 nie traktują ze specjalnym namaszczeniem. Przeciwnie, uważam, że z całej pierwszej połowy XIX wieku najbardziej wyróżnia się on właśnie, on, który otworzył nową epokę w historii Rzymu i, jednocześnie, w historii rozwoju myśli europejskiej i chrześcijańskiej. Mając oczy utkwione w 1804, w 1812 i 14 i 15, w 1830, w 1848 i inne piękne daty, niektórzy historycy zdają się nie zauważać znaczenia pewnego skromnego dekreciku, który wydany został właśnie w roku 1822 i który, zezwalając na publikowanie i sprzedaż w Rzymie książek dotyczących ruchu Ziemi, przekreślał solenne postanowienie Kongregacji Prałatów i Kardynałów z 22 czerwca 1633, videre licet: „Terram non esse centrum Mundi, nec immobilem, sed moveri motu etiam diurno, est propositio absurda, et falsa in Philosophia, et Theologice considerata ad minus erronea in fide". Trzysta lat musiało upłynąć od czasu gdy pewien człowiek kościoła zdołał przechytrzyć Inkwizycję i umrzeć śmiercią naturalną wkrótce po opublikowaniu swych „De Revolutionibus Orbium Coelestium Libri VI", dedykowanych Pawłowi III, aby kardynałowie i prałaci zrozumieli, że ludzie mogą z największą łatwością strawiać *jednocześnie* idee Kopernika, Galileusza, Keplera z jednej strony, a Jozuego z drugiej, i że znajomość pewnych faktów astronomicznych i zabawa w konstruowanie praw przyrodniczych nie musi być koniecznie niebezpieczeństwem dla Kościoła.

Młody Pölätüo rozpoczął swe życie w tym właśnie roku 1822, wydawało mu się zatem całkowicie naturalne to, że grzbiety kopernikańskich kosmografij prężą się śmiało i otwarcie na bardzo świętobliwych półkach księgarskich i prostą, oczywistą, przyrodzoną wydawała mu się idea, że nauka nie na szkodę a przeciwnie: ku chwale Pana Jezusa rozwijać się może. Tymi, których podejrzewał o to, że kryją w sobie prawdziwe niebezpieczeństwo, nie byli fizycy, astronomowie, zajęci materią martwą, ani nawet przyrodnicy, wścibiający nos w tę materię, z której uczynione są istoty żywe, ale poeci, ośmielający się alchemikować nie w tej Materia Prima, która w połączeniu z Formami Akcydentalnymi stanowi ciało człowieka, lecz w tej, związanej z nim przez Stwórcę Formie Podstawowej, która jest Rzeczywistym Istnieniem, i stanowi człowieka Duszę; poeci, ośmielający się spowiadać publicznie, w druku, bez pośrednictwa kapłana. A że niejakiego Voltaire'a miał za poetę, trudno byłoby powiedzieć, że podejrzewał niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie było.

Biorąc to wszystko pod uwagę jesteśmy w stanie lepiej zrozumieć niepokój kardynała Pölätüo, czytającego po raz trzeci list hrabiny K. — „Panie!" — rzekł — Jeśli dałem początek nieprzyjacielowi Twojemu, zetrę go z powierzchni ziemi w sposób, jaki uznam za właściwy. Przyrzekam Ci to".

4.

— A więc...? — rzekł król Umberto.

— Więc. Sire, niezależnie od tego czy myśl, którą kardynał Mamming nazwał był szaleńczą, pokutuje jeszcze w czyjejś choćby najświętobliwszej głowie czy nie, ty, w swojej głowie, w każdym razie wiesz, że władza doczesna dana ci jest od Boga.

— A więc...? — powtórzył król.

— A więc, — ciągnął dalej Pälötüo — gdybym ci powiedział, Sire, że istnieje ktoś, kto może stać się prawdziwym niebezpieczeństwem dla Kościoła, czy nie byłoby obowiązkiem twoim: działać — ?

— Kto taki? — spytał Umberto.

— Sire... Jest to dziecko płci męskiej, ukończyło rok przed kilku dniami właśnie.

Król przysunął się wraz z krzesłem do Pälötüo:

— Czy to ktoś z rodziny Savoie?

— Ależ nie, Sire, matka jego jest jedynie polską hrabiną.

— A ojciec? — spytał Umberto, spoglądając kardynałowi w oczy.

— Człowiek Kościoła — odpowiedział Pälötüo.

Król oparł się wygodnie o poręcz krzesła, założył nogę na nogę i podrapał się w kolano.

— Nie widzę dobrze pod jakim pretekstem syn takiej pary może pretendować do tronu?

— Ale któż o tym mówi, Sire!

— A więc — powtórzył Umberto — nie widzę jak jednoroczne dziecko, dziecko które przez swe urodzenie nie może pretendować do tronu, jak może ono być niebezpieczne?!

— Sire, — rzekł Pälötüo z namaszczeniem — muszę ci wyjawić rzecz najważniejszą. Ono jest poetą.

— A więc... — rzekł król Umberto.

Kardynał był podrażniony tym powtarzającym się „a więc..."

— A więc, — powiedział — twoje stanowisko zmieni się, Sire, ufam, kiedy się dowiesz, że nie jest zrobiony on z marmuru, ani z legendy, ani z papieru. Matka jego nosiła go w łonie przez czas wystarczający do wyprodukowania dziewięciu słoni, jednego po drugim, i wiedz, Sire, że uczyniła go całkowicie z mięsa. Poeta zrobiony z mięsa stanowi największe niebezpieczeństwo dla Kościoła, dla Cywilizacji i dla domu Savoie tak samo!—za czym kardynał zanurzył dłoń w purpurach swej szaty i wyciągnął szarą, pachnącą kopertę. — Oto jest list, który otrzymałem od jego matki — rzekł. I, trzymając w jednej ręce kartkę papieru a w drugiej okulary w złotej oprawie, zaczął czytać: „e... e... e... to nie to, e... e... zaraz, o..., że dziś Guillaume kończy pierwszy rok swego życia? Pięknym jest chłopcem i zaczyna już mówić. Co piszę? Rymuje już! Czyż usłyszawszy bajkę, którą opowiadziała mu jego angielska nurse, nie wołał potem przez pół godziny tych dwóch słów, które rymują się dość przyjemnie: sword — Lord, sword — Lord?"

— Czy słowo: Lord napisane jest dużą literą? — spytał Umberto.

— Tak, Sire.

— A więc... — rzekł król — to znaczy: miecz — Bóg, Bóg — miecz; jestem pewien, że używając tych dwóch słów można napisać poemat bardzo chrześcijański i bardzo królewski.

Kardynał skrzyżował ręce na piersiach i powiedział:

— Sire, trzeba ażebyś poznał prawdziwe znaczenie tych dwóch słów. Trzeba ażebyś wiedział wszystko co one w sobie kryją. Dziesięć lat temu, tuż po Concilium Watykańskim, na którym, zwróć na to uwagę, Sire, dogmat o nieomylności papieskiej został ustanowiony, dwaj ludzie opublikowali dwie książki. Pierwsza z nich nazywała się: „*Descent of Man*" — Darwina, druga: „*Hymn of Man* — (*During the Session in Rome of the Oecumenical Council*)" — Swinburna. Nie mam nic przeciw Darwinowi. Bynajmniej. Sądzę, że mógłbym jego i tych wszystkich fizyków, geologów i astronomów ożenić z Biblią, ja, Pälötüo, tak jak Tomasz z Akwinu ożenił z Biblią Arystotelesa. I myślę, że jeden z przyszłych Ojców Świętych będzie zdolny uczynić z Pälötüomizmu autorytet rządzący myślą katolicką, tak jak to właśnie z Tomizmu czyni Leon XIII. Darwin jest nieszkodliwy dla mojego systemu filozoficznego. Ale ten drugi, Swinburne, posłuchaj, Sire...

Król przerwał kardynałowi i zaczął sam, głosem niepewnym:

— „Let there be light, O Italy!"...

— Tak, tak, — przerwał mu kardynał, zniecierpliwiony — „O Italy!", ale j a k a Italy? Czy czasem nie „the Republic...", „With freedom, and

the sovereign sun", zamiast il „sovereign" Ranieri Carlo Emanuele Giovanni Maria Ferdinando Eugenio Umberto? Dedykował swój tom Mazziniemu, ale czy jesteś pewien, Sire, że nie pisze właśnie poematu, dedykowanego temu Passanante, który usiłował pozbawić cię życia w Neapolu, czy jesteś pewien, Sire, że nie ostrzy właśnie pióra przeciwko tobie, on, poeta, piekielny Passanante, ciskający się z nożem na Boga, od którego przecież, w każdym razie w twoim przekonaniu, masz władzę! „The supreme evil, God!", nie, Sire, jeśli figuruje on na liście twojego Ministerstwa Propagandy — skreśl go! Posłuchaj, Sire, błagam cię...:

„By the name that in hell-fire was written, and burned at the point of thy sword,
Thou art smitten, thou God, thou art smitten: thy death is upon thee, O Lord.
And the love-song of earth as thou diest resounds through the wind of her wings —
Glory to Man in the highest! for Man is the master of things".

Bezdennie głęboka cisza zapanowała nagle w tym kawałku czaso-przestrzeni, który znajdował się m i ę d z y g.6.14 i 6.15 p.p., m i ę d z y królem i kardynałem. Kiedy zegar wydzwonił wreszcie kwadrans, kardynał Pälötüo rzekł:

— Czy zwróciłeś dostateczną uwagę, Sire, na te dwa rymy: s w o r d i L o r d ? Czy zwróciłeś uwagę, Sire, na te dwie nici konspiracji podziemnej, które od dziesięciu lat zaciągają sieci równie mocno wokół ciebie, co wokół nas? Czy zwróciłeś na nie uwagę, Sire, czy nie? I jeśli dowiadujesz się, Sire, teraz, że istnieje poeta, który skończył właśnie swój pierwszy rok życia na tej ziemi i rymuje już jak 34-letni ateista i rewolucjonista, to czy nie napawa cię przerażeniem myśl, co napisze on kiedy będzie w jego wieku, co napisze on w roku 1914?

— Nie bardzo dobrze rozumiem... O co właściwie chodzi? —spytał król.

— Przyrzekłem Panu Bogu Wszechmogącemu, że zetrę poetę z powierzchni ziemi — odrzekł kardynał.

— Swinburna?

— Nie; syna hrabiny Kostrowitskiej.

Umberto przyglądał się chwilę kardynałowi, a potem wzruszył ramionami. Pälötüo jednak mówił dalej:

— Sire, nie udało mi się odkryć gdzie on się znajduje teraz, jestem pewien jednak, że gdzieś w twoim królestwie. Jeśli Bóg nie powstrzymał ręki Heroda, króla Judei, czy myślisz, powstrzyma twoją?

— Ależ... — rzekł Umberto i powtórzył — ależ... Italia jest olbrzymim królestwem! Statystyka z roku 1871 wykazała 26.801.154 poddanych. Dzisiaj, w roku 1881 liczba ta wzrosła do 28.459.628! To znaczy prawie milion, milion niewiniątek! Bethleem zaś było małą dziurą, w której niewiniątek mogło być 6 albo 10.

— Longin Mędrzec, cytowany przez Barhebraeusa według Jakóba z Edessy, mówi o 1800 do 2000 zabitych.

— No więc, powiedzmy, było ich dwanaścioro — rzekł Umberto.

— Grecy zapewniają, że 14.000!

— Nie przypuszczam, żeby było ich więcej niż piętnaścioro.

— Syryjczycy mówią o 64.000!

— Apologiści — odrzekł król Umberto podają jako najwyższą liczbę: 20.

— Za to niektórzy autorzy średniowiecza, opierając się na Apokalipsie, mówią o 144.000 niewiniątek!

— To wciąż jeszcze nie jest milion — odrzekł król Umberto.

Kardynał Pälötüo uśmiechnął się gorzko:

— Tak, — powiedział — kiedy chodziło o zgładzenie Zbawiciela, nikt nie zastanawiał się nad tym ile niewiniątek trzeba zarzezać. Kiedy chodzi jednak o usunięcie nieprzyjaciela Bogu, liczymy, rachujemy, cyfrzymy...

— A jednak — rzekł Umberto — a jednak wiem, że jest to trudniejsze, niż się na pozór może wydawać... Zgładzić milion dzieci w wieku około 1-go roku!

— Niecałe pół miliona — przerwał Pälötüo — nie liczę dziewczynek.

— Pół miliona chłopców jednorocznych! — westchnął Umberto — gdybyż przynajmniej mieli po lat 20, gdybyż przynajmniej mogli służyć w armii...

Kardynał wyciągnął rękę przed siebie:

— Zatem obiecujesz mi, Sire, że w roku 1900-ym...

— Och, jeśli ci to może sprawić przyjemność, Eminentissimo Signore...

5.

Otrzymawszy od króla Umberto zapewnienie, że casus poety „zlikwidowany" zostanie w roku 1900, — kardynał Pölätüo ujrzał przed sobą piękną perspektywę dziewiętnastu lat, wolnych od tej troski, która ostatnio tak męcząco zaprzątała umysł i trapiła sumienie jego.

Zadzwonił na kamerdynera i kazał przynieść sobie Berkeleya. A potem siadł w fotelu przed wielkim szerokim biurkiem, na którym rozłożył arkusze białego papieru i pióra.

Berkeley był małym, czarnym ratlerkiem i kamerdyner wniósł go do gabinetu kardynała na zielonej, atłasowej, żółtą frendzlą obszytej poduszce. Kiedy Pölätüo otrzymał był Berkeleya przed paru miesiącami w upominku od kardynała Manninga, uderzyło go niezwykłe podobieństwo ratlerka do miniaturowej sarny, ta sama smukłość nóg, to samo spojrzenie czarnych okrągłych oczu, ten sam wdzięk ruchów, — i ponieważ wydało mu się, że to Forma Sarnowatości przejawiła się w Materii, z której się składał ratlerek, miał ochotę nazwać go Platonem, powstrzymał się jednak od tego ze względu na szacunek dla św. Tomasza z Akwinu — i, w dowód przyjaźni jaką żywił dla angielskiego ofiarodawcy, nazwał był go imieniem irlandzkiego biskupa Berkeleya.

W prawej dolnej szufladzie biurka kardynała, zamknięty w małej szkatułce zdobionej macicą perłową, leżał kawałek sznurowadła. Berkeley znał dobrze tę szufladę. Podbiegał do niej wesoło, obwąchiwał metalowe okucie i spoglądał na kardynała wyczekująco swymi oczyma sarny. Wtedy Pölätüo przekręcał klucz w zamku, wyciągał szufladę i ze szkatułki wykładanej macicą perłową wyciągał kawałek sznurowadła. Berkeley obwąchiwał sznurowadło łapczywie a potem odwracał się tyłem. Wtedy kamerdyner podnosił Berkeleya albo też Pölätüo nachylał się sam i przywiązywał sznurowadło do małego drżącego ogonka ratlerka. Berkeley szczekał, skręcał się w kółko i rozpoczynał wspaniałą zabawę w gonitwę za snurowadłem przywiązanym do swego własnego ogona. Kardynał Pölätüo nazywał tę zabawę Zabawą w Berkeleya, albo też bardziej skomplikowanie: Demonstracją Solipsyzmatyczną im. Davida Hume.

Zazwyczaj Pölätüo czekał aż Berkeley, zmęczony tą bezcelową gonitwą, położy się na swojej zielonej poduszce. Tego dnia jednak, nagle, zniecierpliwionym gestem dał znak kamerdynerowi by wyniósł ratlerka z gabinetu. Przysunął się z fotelem bliżej biurka, umaczał pióro i na górze białego arkusza papieru napisał:

1. *Dla Umysłu Berkeleya istnieje tylko Idea czarnej smugi uciekającej sprzed oczu, lub Idea zapachu uciekającego sprzed nosa, natomiast Materia dla niego NIE istnieje — chyba jedynie w wyniku* logicznego *rozumowania, jako składowa Umysłu Boga.*

2. *Hume sprawia, że Berkeley dogania sznurowadło, że je pożera, że pożera potem swój własny ogon i całą resztę, od ogona aż do głowy, w której mieści się Umysł, tak że w końcu nie pozostaje nic prócz Idei.*

Kardynał Pölätüo umaczał ponownie pióro i napisał:

*DLACZEGO TA SZTUKA UDAŁA SIĘ HUME'OWI
Z BERKELEYEM
A NIE UDAŁA SIĘ NAM, Z RATLERKIEM???*

Przy stawianiu znaków zapytania pióro rozczapierzyło się. Pölätüo odrzucił je, wziął inne i napisał:

*DLATEGO ŻE W I-szym WYPADKU SŁOWA GONIŁY SŁOWA,
W II-gim ZAŚ MATERIA GONIŁA MATERIĘ.*

Kardynał Pölätüo poczuł się niewygodnie w swym fotelu. Przysunął go jeszcze bliżej do biurka, usiadł głębiej i znów wziął pióro do ręki:

Czy nie znaczyłoby to jednak, że słowa, bezbłędnie według logiki biegnące, doprowadzić mogą do nieprawdy?

I Pölätüo nakreślił pod tym zdaniem wielkie zamaszyste:

NIE!

A potem małymi literkami dopisał:

Znaczy to tyle tylko, że rozumowanie było błędne.

I na marginesie, dla pamięci, zanotował:

(*rozpracować obszern. zagadn.: „empiryzm jako ostateczny sprawdzian w logistyce*".)

Za czym ciągnął dalej:

Na czym polegał błąd w rozumowaniu?

Zastanawiał się chwilę, końcem pióra głaskając swe wargi, aż nagle, jakby objawienie spłynęło na niego. Nachylił się nad biurkiem, strzepnął atrament z pióra, położył przed sobą nową czystą kartkę papieru i wykaligrafował starannie:

*Tu
zaczynają się
Prolegomena do filozofii
Pölätüomizmu*

6.

Od tego dnia kardynał Pölätüo zostawiał swemu sekretarzowi załatwianie wszystkich spraw codziennych, a sam oddał się całkowicie pracy. „Jeżeli będę pisał jedną chociażby tylko kartkę dziennie — rzekł sobie — w ciągu 19 lat jakie mam przed sobą zbierze się ich

365
19
———
3285
365
———
6935

6935. Jeśli choć 10% tych kartek będzie miało wartość trwałą, pozostawię po sobie dzieło ±700 stronicowe, które służyć będzie zbudowaniu świata".

Rzucił okiem na strony zapisane poprzedniego dnia i zauważył że nie są ponumerowane. Na pierwszej postawił „*1*", na drugiej, tam gdzie był tytuł: „Tu zaczynają się..." — „*2*". A potem wziął nową kartkę papieru, w metalowym kieliszku wypełnionym włosiem wyczyścił pióro i zaczął:

—pagina 3—

Pölätüomizm odróżnia dwie wiedze:

I.	*II.*
WIEDZĘ BEZPOŚREDNIĄ oraz	*WIEDZĘ POŚREDNIĄ*

Ja, Pölätüo, mam wiedzę bezpośrednią istnienia Boga. Pokazał mi się był i widziałem Go, pytałem Go i odpowiadał mi, czułem Go wszystkimi moimi zmysłami, zewnętrznymi i wewnętrznymi. Jestem ŚWIADKIEM Jego istnienia.

NB I. do Pagina 1.

i to moje DOŚWIADCZENIE rozrywa tę kręcącą się konstrukcję logiczną: Berkeley-Locke-Hume, którzy bezpośredniej wiedzy istnienia Boga najwidoczniej nie *mieli.*

Wiedza pośrednia nie daje mi dowodu istnienia Boga. Wcale tego od niej nie wymagam. Wiedza pośrednia mówi raczej, że tłumaczy, a jeśli nie teraz to kiedyś w przyszłości w każdym razie wytłumaczy MNIE SAMEGO, a zatem także i mnie jako tego, który miał bezpośrednią wiedzę istnienia Boga. Ażeby tego dokonać wiedza pośrednia poruszy wszystkie sprężyny fizyki, chemii, biologii, socjologii, teoryj wychowania—i, wbrew niektórym autorytetom, nie widzę w tym nic bluźnierczego, przeciwnie, pochwalam —

albowiem:

czyż wszystko co napisane być może w rubryce II nie jest jedynie odpowiedzią na wynikające z rubryki I pytanie:

W jaki sposób Bóg mi się objawia?

Wiedza bezpośrednia mówi mi, że jestem stworem boskim, odrębnym od zwierząt i od aniołów.

Wiedza pośrednia zaś o doborze naturalnym, że razem z małpami pochodzę od wspólnego przodka, — i nie zgorszyłbym się gdyby następcy Darwina doszli do tego, że pochodzę w końcu, a raczej na początku, od małży, od mułu rzecznego, od NIEORGANICZNEJ GLINY wreszcie, tej gliny, z której ULEPIONY ZOSTAŁ ADAM.

Za czym, wbrew niektórym autorytetom, nie widzę w tych dociekaniach nic bluźnierczego, przeciwnie, pochwalam —

albowiem:

czyż wszystko to po prawej stronie nie jest jedynie odpowiedzią na wynikające z tego co po lewej pytanie:

W jaki sposób Bóg ulepił nas z gliny?

Wiedza bezpośrednia mówi mi, że język ludzki jest darem otrzymanym od Boga.

Wiedza pośrednia mówi mi ustami Herr Herdera i sugestiami Mr. Darwina, że język został wynaleziony przez człowieka i że rozwijał się stopniowo. Wbrew niektórym autorytetom nie widzę w tym nic bluźnierczego, przeciwnie, pochwalam —

albowiem:

czyż wszystko to co mówi wiedza pośrednia nie jest próbą odpowiedzi na wynikające z wiedzy bezpośredniej pytanie:

W jaki sposób Bóg nauczył Adama nazywać słowami zwierzęta z pól i ptaki z powietrza?

Kardynał Pölätüo odłożył na chwilę pióro. Spojrzał na zegar i poczuł w ustach smak hors-d'oeuvre'ów z krabów, zupy cebulowej, wreszcie gęsi

nadziewanej po włosku. Poza nim jednak, w obrębie ścian gabinetu nie było ani krabów, ani zupy, ani gęsi. Spojrzał raz jeszcze na zegar, a potem wziął znów pióro do ręki i na oddzielnej kartce papieru napisał:

NB II do pagina 1.

Kiedy Bóg przyniósł Adamowi ptaka i rzekł: Nazwij go! Adam powiedział: gęś. I nazywając go: gęś, miał na myśli ptaka, którego Bóg przyniósł mu, nie zaś kombinację idei, które były w jego umyśle. Ponieważ Adam miał wiedzę bezpośrednią istnienia ptaka POZA NIM. Berkeley nie miał tej wiedzy i zapomniał, że słowem GĘŚ zostało NAZWANE to co jest POZA jego umysłem, a nie Idea białych piór i Idea smaku gęsiny. I to co Berkeley pisze nie jest dowodem na to, że to co zostało nazwane przez Adama: GĘŚ — nie istnieje, — jest zaś jedynie propozycją nazywania słowem: GĘŚ pewnych Idei, ulokowanych w umyśle Berkeleya, które to idee zresztą, mogą zjawiać się tam i wtedy, kiedy nie ma na obiad gęsiny.

A potem wrócił do wątku zaczętego na pagina 3:

Wiedza bezpośrednia:	*Wiedza pośrednia:*
Czułem smak hors-d'oeuvre'ów, czułem smak gęsiny, miałem wiedzę bezpośrednią zupy cebulowej — na 1 godzinę PRZED obiadem.	*mówi mi, że w mym polu widzenia nie było hors-d'oeuvre'ów, ani zupy cebulowej, ani gęsi. I nie widzę w tym żadnego bluźnierstwa, przeciwnie, pochwalam —*

albowiem:

czyż wiedza pośrednia nie wstępuje tu na sam szczyt drabiny klasyfikacyjnej Augusta Comte'a i czyż nie ona właśnie przypomina mi tu szlachetną dewizę: Vanitas Vanitatis?

NB.: W wypadku naszej wiedzy bezpośredniej istnienia Boga (patrz wyżej) wiedza pośrednia bynajmniej nie stwierdzała, że Boga nie ma, mówiła jedynie, że nie stwierdza istnienia Jego; podczas gdy w wypadku naszej wiedzy bezpośredniej zupy cebulowej — wiedza pośrednia STWIERDZA, że zupy cebulowej nie ma.

Wiedza bezpośrednia:	*Wiedza pośrednia:*
W czasie mojej ostatniej wizyty u króla Umberto, król założył nogę na nogę i podrapał się w kolano. Sekretarz mój widział się wczoraj z sekretarzem osobistym króla, który stwierdził, że świadomości króla nic nie jest wiadome, że go zaswędziło kolano.	*Obserwacja zachowania się materii, z której składa się król, pozwala na stwierdzenie faktu, że kolano swędziło. Stanowisko takie bynajmniej nie wydaje mi się bluźnierczym, przeciwnie, pochwalam je —*

albowiem:

czyż wiedza pośrednia nie wypisuje tu nam przestrogi, że Prawo Boskie jest i czuwa zawsze i wszędzie, nawet wtedy kiedy sobie tego nie uświadamiamy?

Pölätüo zatrzymał się na chwilę, nie odrywając jednak pióra od papieru. A potem przerzucił je szybkim ruchem na nową kartkę i napisał:

A jednak

kolano królewskie podrapane zostało przez rękę połączoną z umysłem który n i e w i e d z i a ł (mianowicie: z Umysłem Króla) a nie przez tę połączoną z umysłem który w i e d z i a ł (mianowicie: moim, Pölätüo).

UWAGA: Świat byłby prostszy, gdyby rzeczy odbywały się w sposób następujący:

1° *zauważam, że kolano królewskie swędzi;*
2° *mówię: „Sire, kolano twoje swędzi";*
3° *król odpowiada mi: „Tante grazie, Eminentissimo Signore";*
4° *drapie się w kolano.*

Odłożył pióro, wziął nowe ze srebrnego piórnika, obejrzał je i, stwierdziwszy że dobrze naostrzone, umaczał i napisał:

Dokonać czynu drapania się w kolano można bez współudziału obu wiedz: bezpośredniej i pośredniej.

Natomiast:

do dokonania czynu napisania Filozofii Pölätüomizmu, opartej na Wiedzy Bezpośredniej, potrzebna jest uprzednia znajomość tego wszystkiego, co ma do powiedzenia

Wiedza
Pośrednia.

7.

Kardynał Pölätüo postanowił zbadać wszystko co ma do powiedzenia wiedza pośrednia.

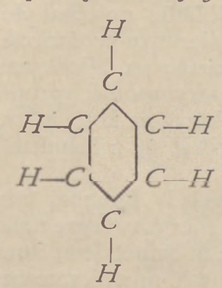
Na jesieni roku 1881 pojechał do Paryża aby złożyć Rządowi Francuskiemu podziękowanie za powinszowanie jakie ten przesłał był Leonowi XIII z powodu Encykliki O Panowaniu Cywilnym, wydanej po zabójstwie cara Alexandra II. Przy sposobności widział Louis Pasteura i na stronie 127 Pölätüomizmu zanotował:

Louis Pasteur, gorący uczony, poważny katolik, wierzy w 2 rzeczy 1° w Boga; 2° w zasadę immunizacji za pomocą szczepienia. Nie widzę dlaczego ta druga wiara miałaby być bluźnierstwem przeciwko pierwszej. Przeciwnie. Pochwalam ją. Albowiem: jeśli choroba jest karą Bożą, to wyleczenie jest łaską Bożą. Czyż Louis Pasteur nie jest więc nosicielem łaski Bożej?

Z Paryża pojechał Pölätüo do Bonn, gdzie widział się z F. A. Kekulé. Z Bonn pojechał do Amsterdamu, gdzie złożył wizytę J. A. Van t'Hoffowi.

Na stronie 190 zanotował:

Kekulé pokazał mi swój symbol:



Ale nie modlił się do niego.

Powiedział, że wokoło tego kręgu umieścić można inne grupy atomów i że ta synteza, pozwalająca na masową produkcję barwników i lekarstw, bawełny strzelniczej i gazów trujących, otwiera nową epokę w dziejach ludzkości.

I nie widzę w tym nic bluźnierczego, albowiem jeśli Bóg chce zesłać na nas klęski i błogosławieństwa, to czyż nie wypada uchylić czoła przed Kekulém, który sam jest narzędziem w ręku Boga, narzędziem instrumenta klęsk owych i błogosławieństw udoskonalającym?

Na stronie 215 zanotował:

Van t'Hoff był b. miły. Powiedział mi, że molekuła nie jest zbudowana symetrycznie. I że kryształy są leworęczne i praworęczne.

W niczym nie zachwiało mej wiary to, że dowiedziałem się W JAKI SPOSÓB BÓG BUDUJE MOLEKUŁY I KRYSZTAŁY.

W roku 1882 pojechał do Londynu i widział się z Karolem Marksem. Na stronie 419 napisał:

Il signore gentile... — „Napisałbym v e c c h i o — rzekł sam do siebie — gdyby nie to, że jest zaledwie o cztery lata starszy ode mnie" — *Po-*

wiedział mi: „bieg historii jest zdeterminowany przede wszystkim przez czynniki ekonomiczne".

Wbrew niektórym autorytetom nie widzę w tym nic bluźnierczego. Czyż Bóg Wszechmocny nie może układać biegu historii za pomocą czynników ekonomicznych, jeżeli taka jest wola Jego?

Powiedział mi jeszcze: „sposób w jaki odbywa się produkcja w życiu materialnym determinuje ogólny charakter zjawisk życia społecznego, politycznego i duchowego".

Całkowicie się z tym zgadzam. Albowiem:

1° zapewnił mnie, że nie wymyślił sobie tej tezy dla własnej przyjemności, lecz że doszedł do niej metodą analizy naukowej. (Pölätüomizm zaś, w odróżnieniu od innych filozofii, nie tylko nie ignoruje wyników, do jakich analiza naukowa wiedzy pośredniej prowadzi, lecz przeciwnie, za nową podporę je dla siebie bierze):

2° ponieważ jest to właśnie (i jakże na czasie!) wskazówka dana od Boga Kościołowi, aby z władzy doczesnej nie rezygnował, aby za pośrednictwem Królów, Prezydentów i Rządów wpływał na produkcję dóbr materialnych i w ten sposób „determinował" „ogólny charakter życia duchowego".

Nie widzę zatem w tej nowej nauce nic bluźnierczego, przeciwnie pochwalam.

W roku 1883 kardynał Pölätüo nie wyjeżdżał z Rzymu, kazał natomiast sprowadzić sobie odkryte właśnie przez Klebsa bakcyle dyfterii, odkryte przez Kocha bakcyle gruźlicy oraz sporządzoną przez Vogel'a listę spektralną 4051 gwiazd. Na stronie 850 napisał:

Przejrzałem spectra 4051 *gwiazd, obejrzałem pod mikroskopem niekończące się korowody zabarwionych metylen-blauem pałeczek gruźlicy — i, zawieszony między tą nieskończonością wielką i nieskończonością małą, poznałem w mej wiedzy bezpośredniej, że — wbrew niektórym autorytetom — wiedza pośrednia mikroskopy i lunety swoje ku Chwale Bożej buduje.*

W roku 1884 kardynał Pölätüo pojechał do New-Yorku, ażeby rozmawiać z Bostonem przez pierwszy w świecie międzymiastowy telefon. Z New-Yorku też wysłał kartkę na Międzynarodową Konferencję, jaka się właśnie odbywała w Waszyngtonie, proponując ustalenie południka nie przez Greenwich a przez krzyż na kopule Św. Piotra i Pawła w Rzymie. Po powrocie do Europy spotkał się z Schiffem i wysłuchał jego wykładu o gruczole tarczycowym.

W roku 1885 zwiedzał zakłady Kruppa, gdzie syn Alfreda, Friedrich Alfred K. pokazywał mu pierwszy egzemplarz 100 tonowego działa, w Paryżu zaś, w Hôspital de la Salpêtrière, słuchał wykładu Charcota i oglądał mózgi i stosy pacierzowe, poumieszczane w szklanych słojach, zaopatrzonych w numerki i nalepki.

W roku 1886 Goldstein pokazał mu dziurkę w katodzie, przez którą przechodzą promienie pozytywowe; na jesieni zaś otrzymał w prezencie wykonaną właśnie przez Robertsa fotografię mgławicy Andromedy, oprawioną w jednym passe-par-tout z reprodukcją Drogi Mlecznej Tintoretta; w grudniu dostał odkrytkę z Birr Castle, od Ralpha Capelanda, który donosił mu, że odkrył hel w mgławicy Oriona.

Wiedza pośrednia potwierdza to najlepiej, że wielkość i mądrość Stwórcy nie ma granic — napisał na stonie 1879.

W roku 1887 kardynał Pölätüo po raz drugi przepłynął Atlantyk. Wprost z okrętu wsiadł w pociąg i pojechał do Cleveland w stanie Ohio, aby sprawdzić samemu eksperyment Michelsona-Morleya. Kardynał Pölätüo przewidywał, że znajdzie błąd w sposobie przymocowania aparatu do kamiennej płyty pływającej na rtęci. Stwierdził jednak, że błędu żadnego nie było. A jednak, czy aparat umieszczony był w kierunku ruchu Ziemi czy w poprzek — promień świetlny zachowywał się jednakowo. Tak jakby Ziemia NIE poruszała się w Eterze. W drodze powrotnej, na statku, Kardynał Pölätüo rozłożył przed sobą swój rękopis, wziął czystą kartkę papieru, oznaczył ją: —*pagina* 2244—, wyrysował kreskę z góry na dół przez środek i napisał:

SUMMA CONTRA GENTILES THOMASA AQUINAS

...weźmy jako podstawę to co już zostało wykazane powyżej (XIII), mianowicie że Bóg jest całkowicie niezmienny...

Z poprzedniego wynika jasno, że Bóg jest wieczny.

Albowiem cokolwiek zaczyna się lub kończy, doświadcza tego przez ruch lub zmianę.

Zaś było pokazane że Bóg jest niezmienny.

Zatem jest on wieczny, nie mający ani początku ani końca.

Dalej: Jedynie te rzeczy które poruszają się mierzone są czasem: ponieważ czas jest miarą ruchu, *jak stwierdzono (Aryst. Phys. XI.*5.)

Zaś Bóg jest absolutnie bez ruchu, jakeśmy już dowiedli (XIII).

Zatem nie możemy oznaczyć ani przed *ani* po *w Nim...*

Zatem jest On bez początku i końca, i ma całe Swoje istnienie jednocześnie:

UWAGI NA TEMAT DOŚWIADCZEŃ MICHELSONA-MORLEYA

...weźmy jako podstawę to co widzieliśmy w tych dniach (w Cleveland), mianowicie, że szybkość promienia świetlnego nie zmienia się...

Z poprzedniego wynika jasno, że światło ma ruch absolutny.

Albowiem promienie biegnące z *opływającym Ziemię wichrem eteru,* naprzeciw *wichrowi i* na poprzek *były kolejno badane.*

Zaś zostało wykazane, że zmian w interferencji nie ma.

Zatem ma światło ruch absolutny, nie mający ani przyspieszenia ani opóźnienia.

Dalej: jedynie zmiana szybkości a nie szybkość zdeterminowana jest przez siłę: ponieważ równanie ruchu ma taką samą formę dla dwóch układów poruszających się jednostajnie względem siebie, *jak stwierdzono (Newton. II prawo De Motu).*

Zaś Eter jest absolutnie bez ruchu, jak tego dowiedli Michelson i Morley (Cleveland).

Zatem nie możemy oznaczyć ani zwolnienia *ani* przyspieszenia *w nim...*

Zatem nie ma żadnego Eteru;

Kardynał Pölätüo spojrzał przez okno swej kabiny na morze, pokryte przesuwającymi się ustawicznie grzebieniami białej piany, a potem dopisał:

i na tym właśnie polega pojęcie wieczności (I Sum.Th.Q.x).

i na tym polega pojęcie nieistnienia.

d. c. n.



Maurice Collis w „Obserwerze“ o Feliksie Topolskim

Ci, co smakują w jabłkach, gitarach, zebrach i tym podobnych akcesoriach, ci co lubują się w dezynfekowanych wnętrzach i ćwiczeniach optycznych, ci których uszczęśliwia drapana i skrobana faktura, albo ci, co zadawalają się laboratoryjną kuchnią, a zwłaszcza ci, których życie samo przyprawia o niestrawność, nie powinni oglądać wystawy Topolskiego u Wildensteina.

Powiadają, że wielkiej miary człowieka nie sposób zdławić. Zgodnie z regułą Topolski nie powinien w ogóle istnieć; mam na myśli regułę stworzoną przez Rogera Fry. Ale oto zjawił się, wyłamał, galopuje, toczy się pełen gigantycznej joie de vivre. Płótna jego chociaż duże, są wciąż za małe. Kompozycje duszą się w ramach jak gdyby chciały rozeprzeć się po całych ścianach i żeby dopasować je do wulkaniczności stylu cały głob ziemski jest ich tematem. Toteż tego po prostu „nie wypada” robić w naszych czasach. Ale zawsze tak właśnie się dzieje. Wielki człowiek przychodzi i rozwala wszystko.

KOMEDIA LUDZKA

W pierwszej sali są rysunki, jest ich dwadzieścia siedem. Z grubsza można je podzielić na dwa rodzaje: kompozycje i te robione z natury. Z pierwszych „Piramidy w pełni księżyca” i „Policjanci Aleksandrii” są rzeczywiście wspaniałymi kreacjami. Poruszają nas swą żywiołowością; ich humor, upojenie się życiem i krwista pasja wlewają w nas zdrowie. Radujemy się komedią istnienia i jesteśmy wzmocnieni. Rysunki z natury są jakościowo odmienne. Można by o nich powiedzieć, że są dokumentami sztuki Topolskiego. Mamy tu obserwację począwszy od pojedyńczych charakterów aż do przychwycenia pełnej charakterystyki środowiska. Niektóre są wręcz objawieniem, jak na przykład czuła „Scena rodzinna w Górnym Egipcie”. Wartością ich jest świeżość i prawda a środkiem artystycznym spontaniczność nie do naśladowania.

Rysunki Topolskiego są słynne. Jego reputacja rysownika i dokumentatora przepływającego czasu oparta jest na wielkich i olśniewających osiągnięciach. Mało był on znany jednak jako malarz obrazów olejnych i fakt, że wystawia po raz pierwszy większą ich ilość, czyni wystawę u Wildensteina prawdziwym zdarzeniem.

OBRAZY OLEJNE

Nie są te obrazy jakąś wersją jego rysunków, ale ich syntezą. Chociaż trudno byłoby wyobrazić je sobie bez rysunków Topolskiego, są one wypowiedzeniem się bardziej epicznym aniżeli rodzajowym. Tak tedy w „Polskich uciekinierach wkraczających w Czarny Ląd” nie tylko znajdujemy dokument zjawiska historycznego, ale także wizję o szerszym znaczeniu, wizję ludzi rasy białej zmuszonych wyrokiem okrutnego losu szukać schronienia wśród czarnych. W „Religiach i rasach Bliskiego Wschodu”, obrazie zbudowanym może na zaobserwowanej walce między derwiszem i Murzynem, daje Topolski fantasmagorię zmagających się wiar; i chociaż całość jest wirem twarzy i draperii, charaktery poszczególnych twarzy nigdy nie wyłamują się w swym wyrazie poza zamierzoną kompozycję, zawsze jednak dostatecznie obecne aby okazać aktualność sceny — problem którego rozwiązanie wymaga szczytowego mistrzostwa.

Faktura Topolskiego jest wysoce interesująca i można ją porównywać z techniką najlepszych rzemieślników przeszłości. Charakterystycznym w niej jest to, że każde pociągnięcie pędzla tworzy jednocześnie rysunek i malarstwo; kształt i kolor zjawiają się jednocześnie, jednocześnie zostaje oddana plastyka, światło, ruch i materia. Tego rodzaju faktura bardziej niżeli inne mówi o bogactwie wrodzonego daru, o czymś istniejącym samo

przez się, o czymś nieograniczonym a jednolitym, czego nie można się nauczyć, ale co można kultywować. To styl w przeciwstawieniu do maniery. Styl Topolskiego jest umocniony płodną wyobraźnią i wigorem. Dla tak wyekwipowanego artysty wielkie osiągnięcia są po prostu w zasięgu ręki. Topolski nie ma rywali, jest fenomenem samotnym i jakkolwiek jest on nie do naśladowania może rozbudzić podobne a dziś nieznane talenty i stworzyć szkołę.

MAREK CELT

KONCERT

Wystartowaliśmy o godzinie 21.20, dnia 27 grudnia 1941 roku.

Nie potrafię opisać mego podniecenia, radości, strachu; to uczucie tak bardzo złożone, trzeba przeżyć, aby je zrozumieć. Dość, że leciałem „do domu", do Kraju! Jako jeden z pierwszych szczęśliwców — w jednej z pierwszych, pionierskich wypraw spadochronowych.

Szybko zorientowałem się, że lot nie będzie należał do najprzyjemniejszych. Wszystko mnie gniotło, wszystko było mokre od potu, nie można było nigdzie wygodnie usiąść. Po kilkunastu minutach takiego „siedzenia" i łażenia z kąta w kąt zdecydowałem się — wbrew *King's regulation* — zdjąć spadochron i doprowadzić cały mój ubiór i ekwipunek do „nowego porządku". Nabiłem oba pistolety i zapasowe magazynki, poprawiłem na sobie każdy szczegół garderoby, sprawdziłem raz jeszcze, czy wszystkie „detale" spadochroniarskiego ekwipunku są na swoim miejscu. A więc: czy nieprzemakalny pas z pieniędzmi opina się na mnie szczelnie, czy blaszane, olutowane „gwoździe" ze złotem — ciężkie jak licho — są w swoich kieszeniach, czy nie zginęła magiczna, bo wybuchająca przy otwieraniu przez niewtajemniczonego, puszka z pocztą na filmach. Obejrzałem mocny nóż sprężynowy, świetny, olejowy kompas, latarkę, zegarek, łopatkę, pakiecik ze skondensowaną żywnością, woreczek z zapasową amunicją, opatrunek osobisty, przybory do golenia i tyle innych ważnych, niezbędnych rzeczy. I wreszcie upewniłem się po raz nie wiem już który, czy nie zgubiłem dziesięciu zatrutych papierosów „Sport", przeznaczonych na *case of emergency*, jak mawiał nasz angielski instruktor, dla Niemców i fasolki — małej białej fasolki, która zawierała cyjankali, ale już dla mnie samego. Zarówno papierosy, jak i fasolka budziły we mnie przy każdym spojrzeniu na nie, nieledwie przy każdej myśli o nich, uczucie strachu, respektu i jednak pewnego bezpieczeństwa. One stanowiły zawsze zakończenie przeglądu mego ekwipunku.

Usiadłem na spadochronie. Poczułem się zaraz lepiej, ale po kilkunastu minutach zaczęło mi dokuczać tak przejmujące zimno, że trudno mi było myśleć o czymkolwiek. Drżąc na całym ciele patrzyłem na ciemne postacie kolegów. Wszyscy zdjęli spadochrony za moim przykładem i usiedli na nich. Jedynie Doktór i Effendi zabrali się po chwili do spakowania worka z naszymi prywatnymi rzeczami, zapasami amunicji, kilkoma pistoletami i granatami. Ściągnęli go mocno skórzanymi rzemieniami i przymocowali doń spadochron. Kosztowało ich to dużo czasu i wysiłku, zmęczyli się też przy tej pracy bardzo widocznie. W skrytości ducha cieszyłem się, że nie ja otrzymałem ten rozkaz. Taki się czułem słaby i opuszczony...

Pocieszaliśmy się wszyscy, że mamy gorącą herbatę z rumem i sandwicze, ale po pierwszym pytaniu na ten temat złudzenia nasze rozwiały się. Nic podobnego — zapomniano! Jest tylko rum w naszych własnych manierkach, rum zasadniczo przeznaczony już na moment i przygody po

wylądowaniu. Oczywiście wszystkiemu winna była Peggy, nasza szoferka. W czasie jazdy na lotnisko tak energicznie kręciła kierownicą przeładowanego samochodu i równocześnie tak intensywnie flirtowała z Buką, że znaleźliśmy się w rowie. Katastrofa dość niewinna, nic się nikomu nie stało, ale auto rozbiło się trochę, zastrajkowało i dużo czasu straciliśmy na czekanie w polu na drugi samochód i na przeniesienie doń wszystkich rzeczy. Wskutek tego spóźniliśmy się na lotnisko o około 2 godziny. Nie było już czasu na nic, nawet na zjedzenie czegokolwiek, nawet na dokładne ubranie się. No i między innymi zapomniano o herbacie z rumem i sandwiczach.

Nieprzyjemne to były rozmyślania. Jakoś nie nadzwyczajnie zaczął się ten lot.

Zmarzliśmy wszyscy na kość: nie pomogły śpiwory, ani torebki z magicznym, samogrzejącym proszkiem, nie pomogła wreszcie sobie samemu kradziona odrobina rumu.

Wreszcie, czując się rozbity, zziębnięty do niemożliwości i ogłuszony — zasnąłem. Cztery paszcze „Halifax'a" warczeniem swoim wżerały mi się w mózg.

Zbudził mnie silny wstrząs. Wyrżnąłem głową o ścianę. Przyjemne, dziwne sny uleciały daleko — od razu wytrzeźwiałem. Podszedłem mimo kompletnej ciemności w samolocie do okna, przy którym stał nasz „wykidajło", młody sierżant Polak (cała załoga była polska) i spojrzałem w dół. Na tle czerni niezmierzonej pełzały leniwie światła reflektorów, odbijając się niekiedy w jakiejś wodzie; od czasu do czasu wybuchały czerwone pociski artylerii przeciwlotniczej: to tu, to tam, to wyżej, to niżej. „Wykidajło" powiedział mi, że znajdujemy się nad Danią i że właśnie odłamek jednego z takich pocisków, który utkwił w skrzydle, i podmuch zbudziły mnie z drzemki.

Za chwilę oberwaliśmy po tym samym skrzydle po raz drugi — znowu „świat nasz" zachwiał się na prawo i lewo i znowu, wróciwszy do równowagi, popłynęliśmy spokojnie dalej.

Zacząłem z lekceważeniem patrzeć w ślepia reflektorom; żaden nie złapał nas w swą srebrną wstęgę, raz tylko jeden z nich przejechal po nas i odbiegł, a potem już się wszystko zaczęło oddalać i znowu byliśmy zawieszeni w czarnej otchłani, którą wypełniał huk i warkot motorów. Zapaliła się mała, przymglona lampka, w której mdłym świetle wnętrze samolotu wydawało się niesamowite, a postacie kolegów jak z nieprawdziwego zdarzenia.

Sierżant skończył gwizdać *„I've got sixpence"* i zaczął coś mówić. Z początku nic nie rozumiałem — zajęty swymi myślami — potem wreszcie przez szum w uszach dotarły do mnie słowa, że on nigdy by się nie zgłosił „na takiego spadochroniarza", że woli „lecieć i wrócić, lub nawet lecieć i zginąć, ale tam skakać, może wprost Niemcom w łapy, brr... nie!" To nie dla niego.

Poczciwy chłopak. Podobało mi się to, co mówił, bo czułem że mówi to szczerze i że jest w tym trochę prawdy. A gdy mi powiedział, że woli po niebezpieczeństwie i wrażeniach lotu wyspać się w wygodnym łóżku, wypić *„cup of tea"* i pójść wieczorem z „Baby Boby" do kina, niż tłuc się po polach, lasach i śniegach w nigdy niekończącym się niebezpieczeństwie, — zrobiło mi się trochę żal Anglii i wygody. Skarciłem się jednak zaraz i poczułem dumę przypływającą do piersi, że za parę godzin będę chodził po polskiej ziemi, że przyniosę ludziom dużo radości, że spełniam zaszczytną misję kuriera Rządu Rzeczypospolitej, że jestem jednym z nielicznych szczęśliwych.

Jest nas sześciu. Porucznik Marian — komendant desantu — ma 32 lata. Jest wybitnie przystojny, o prawie kobiecej twarzy, wygląda najwyżej na 25 lat. Skończył wydział filozoficzny na Uniwersytecie Warszawskim, ale potem będąc przekonany o przyszłej wojnie — wolał pójść



H. G. Wells (olej)

Z WYSTAWY PRAC FELIKSA TOPOLSKIEGO W LONDYNIE

Stara Jerozolima (rys.)





Chiny
(olej)



Kaplica Sykstyńska (rysunek)

do wojska i ukończył podchorążówkę lotnictwa. Lubił latać, jednakże nie dawało mu to pełnego zadowolenia, gydż on... chciał wychowywać żołnierzy — obywateli. Poszedł więc do kawalerii i był wzorem oficera. Za dzielność we wrześniu 1939 r. odznaczony został orderem Virtuti Militari.

Maciej jest kapitanem, saperem. Ma niewiele poniżej 40 lat. Jest bardzo inteligentny i skromny i dlatego przez wszystkich lubiany.

Buka nie jest oficerem lecz robotnikiem. Jest z nas wszystkich najstarszy i najweselszy. Nie potrafi nigdy usiedzieć przez pół godziny, żeby nie bujać o swoich przygodach, lub nie mówić o socjalizmie, albo kobietach. Bardzo odważny, bardzo kochany i bardzo śmieszny. I jeszcze więcej niż za kobietami — przepada za dziećmi.

Doktór zwykle milczy i zachowuje się trochę zanadto urzędowo. Ma około 33 lat i jest lekarzem wojskowym. Wszystko, co robi, robi świetnie i podoba mi się jako charakter, ale trudno mi jakoś wejść z nim w bliższy kontakt. Poza tym mam do niego trochę żalu o awanturę, jaką mi zrobił 4 dni temu przy bridge'u. Po jego szlemiku zapowiedziałem szlema w piki. Wtedy Doktór powiedział mi podniesionym głosem, że nie mam pojęcia o licytacji, potem zrobił szlema, a potem zapomniał mnie przeprosić. Ot, mruk!

A Effendi? Effendi jest dla mnie najciekawszym i najmilszym człowiekiem na świecie. Inżynier z zawodu, oficer rezerwy. Ma dopiero 31 lat ale życie już miał pełne przygód. Zwiedził cały Bliski i Środkowy Wschód, budował drogi w Afganistanie, pętał się po całej Europie i Północnej Afryce, zna Kaukaz, jak własną kieszeń. Umie wspaniale śpiewać i jeszcze lepiej opowiadać. Na punkcie muzyki jest zwariowany prawie tak jak ja, co stworzyło od razu, od pierwszego spotkania na próbnym strzelaniu ze „Stena" mocną między nami więź.

Kiedym go zobaczył po raz pierwszy, Effendi siedział na trawie i zmieniał złamaną iglicę „Stena". Usiadłem obok niego i czekałem aż skończy robotę, aby mu się przedstawić, bo już wszystkich innych znałem. Moja kolejka strzelania jeszcze nie nadeszła. O kilkadziesiąt kroków od nas kilku „cicho-ciemnych" waliło seriami do różnych drewnianych, szwabskich sylwetek, pochowanych w trawie i między drzewami. Inni obserwowali wyniki, porykując od czasu do czasu z zachwytu lub zazdrości. I wtedy Effendi, nie patrząc na mnie, zaczął gwizdać śliczną drugą część VII Symfonii Beethovena. Aż podskoczyłem ze zdumienia i radości, takie to było nieoczekiwane i takie ładne. Po chwili, kiedy Effendi skończył pierwszy okres wiolonczelowy i o oktawę wyżej przeszedł do skrzypiec — przyłączyłem się doń jako wtór wiolonczelowy. Oglądnął się na mnie i uśmiechnęliśmy się obaj do siebie. Oczywiście uśmiech przerwał gwizdanie — a Effendi spytał po prostu:

— Jedzie pan z nami?

— Jadę — odrzekłem.

— W której grupie?

— W drugiej.

— A to szkoda. Ja jadę w pierwszej i moglibyśmy sobie po drodze gwizdać na głosy, no nie?

— No tak, szkoda. Ale może będziemy mieć trochę czasu na punkcie wyczekiwania.

— Ja się nazywam tu — w tej robocie Effendi — a pan?

— Celt.

— Celt, hm. Ładnie się pan nazwał. Czy to pochodzi od indoeuropejskiego szczepu Celtów, czy od przedhistorycznego toporu, czy wreszcie od namiotowego płótna?

— Ani od jednego, ani od drugiego, ani od trzeciego. „C" i „T" to pierwsze litery mojego nazwiska i imienia, a „E" i „L" — imienia i nazwiska mojej narzeczonej.

Effendi skończył swą pracę i wstał. Znowu uśmiechnął się i rzekł:

— Sprytnie sobie pan to wykombinował. Swoimi literami obejmuje pan litery swojej narzeczonej. Czy o to chodziło?

— Może i o to — odparłem z uśmiechem. — Najważniejsze jest to jednak, aby pseudonim był krótki, niebanalny ale łatwy do wymawiania. Mój odpowiada tym warunkom.

— Mój także jest łatwy, choć niecodzienny. Zresztą narzucono mi go. Koledzy ochrzcili mnie „Effendim", gdyż obracałem się dość dużo między muzułmanami i lubię Wschód. No, chodźmy sobie postrzelać.

Tak wyglądał początek mej znajomości i przyjaźni z Effendim. Później — w czasie całego miesiąca wyczekiwania — zaprzyjaźniłem się z nim bardziej niż z innymi, dużo z nim rozmawiałem, jeszcze więcej słuchałem, ak on mówił. Wyłącznie o nim mógłbym opowiadać godzinami.

Effendi jest wysoki i barczysty. Duży, czerwony nos szpeci go bardzo, ale nie przeszkadza mu to być czarującym. A przy tym wszystkim bije z niego bezpatosowy patriotyzm i prawdziwa rzetelność. Lubiłem być w jego towarzystwie. Toteż dzikim okrzykiem radości powitaliśmy obaj decyzję władz, która przeniosła mnie tuż przed Bożym Narodzeniem z grupy drugiej do pierwszej.

Ja jestem szósty, najmłodszy, bo mam 25 lat. Tuż przed wojną uzyskałem dyplom magistra prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Kocham muzykę, Ewę, harcerstwo i przygodę.

Stanowimy razem spadochronową grupę „*Jacket*", która właśnie teraz leci do Polski.

Effendi usiadł pod aluminiową ścianą i gra na harmonii-maskotce, która będzie towarzyszyć każdej ekipie w locie do Polski. Widzę jak biega palcami w rękawiczkach po białych guzikach, ale melodii nie słyszę. Huk motorów jest okropny i nieprzerwany.

Brr... Poczułem znowu okropne zimno. Próbuję trochę usnąć, ale nie idzie mi jakoś, ciężko mi na duszy i nie wiem, co to ma oznaczać. Domyśliłem się wreszcie, że to brak tlenu, ale długo musiałem się męczyć, zanim zgrabiałymi palcami wyplątałem z gęstwiny aparatów tlenowych jeden z nich i z pomocą „Wykidajły", założyłem go na głowę. Poczułem się zaraz lepiej i usnąłem znowu. Zbudził mnie ktoś szturknięciem — to któryś z mych kolegów rozplątuje aparaty tlenowe.

Wszystkie kości bolą, rum już skończony, zresztą nie smakował mi przy końcu wcale i rozgrzewał coraz gorzej i na coraz krócej. Och, jakby się przydał termos z gorącą herbatą z mlekiem, czy kawą i coś do przekąszenia.

Przekonałem się o istnieniu w mym ciele ogromnej ilości mięśni, o których mi się przedtem nie śniło. Wszystkie mnie bolały. Kilka razy jeszcze zasypiałem ze znużenia, a budziłem się z zimna — aż wreszcie pilot dał nam znać, że dolatujemy do granic Polski, gdzieś niedaleko Gdyni. Zbiegliśmy się znowu koło okna, jak nad Danią, i patrzyliśmy ciekawie w dół.

Biało było tym razem tam, daleko w dole... Śnieg, zima, prawdziwa zima. Gdzieniegdzie czarna plama lasu, czasem jakieś dziwne jakby nie ziemskie światełko i... czarna wąska wstążeczka jakiejś rzeczułki.

„To Wisła, nasza Wisła, tylko że my jesteśmy dość wysoko, proszę panów".

Jakieś dziwne uczucie chwyta mnie za gardło, sięga głębiej, — aż do serca, do duszy. Uczucie złożone: radość i rzewność, duma i trwoga, ciekawość i odwaga; zwycięża jednak chyba radość i dziwna moc wchodzi w moje kości, naprężam bezwiednie muskuły, modlę się i uśmiecham sam do siebie. Przygotowuję się duchowo do skoku, do skoku ze spadochronem i do skoku w nieznane, naprzeciw „Wielkiej przygodzie".

Zimno już nie ważne, nie zwracam na nie zupełnie uwagi. Doznaję uczucia, jakbym za chwilę miał zasiąść do egzaminu. Siedzimy tym

razem w szóstkę zamiast w czwórkę, w samolocie „Halifax”, jednym z największych bombowców świata, zamiast za stołem w sali egzaminacyjnej Uniwersytetu we Lwowie. — Zamiast poważnego profesora, do naszej sali egzaminacyjnej, którą jest spora połać nadwiślańskiego kraju ma zaraz wejść surowy, bezwzględny Los. W takich chwilach uspakajam się zupełnie i odzyskuję pełną kontrolę nad sobą.

Przez głowę przelatują mi znowu wspomnienia z różnych „przejść” węgiersko-bolszewickiej granicy. Oto przypinam narty do ciężkich butów, oto sprawdzam pistolet — wspaniały, kochany „Vis”, próbuję jak mi ciężki plecak leży na grzbiecie, uśmiecham się i cieszę — przygoda się zaczyna.

Spoglądam po sobie: ten sam ciężar na plecach, to tym razem spadochron—takie same, ciężko podkute buty — dwa cudowne „Colt’y”, lekkie i precyzyjne. Uczucie zjazdu narciarskiego, zjazdu na łeb na szyję z góry granicznej koło Laturki wprost do pierwszej „bolszewickiej” wsi Iwaszkowce — zastąpi mi skok z „Halifax’a”.

Dzielimy się wrażeniami. Twarze blade, w półmroku dziwnie błyszczą oczy. Trzeba głośno krzyczeć, by sąsiad mógł zrozumieć o co chodzi. Krzycząc, rozmawiamy o dwóch pozostałych na punkcie wyczekiwania grupach „*Shirt*” i „*Collar*”. Wszyscy pewnie śpią w najlepsze — przecież to noc. Jeśli w ogóle czuwa z nich kto, to chyba tylko Jaś ze Lwowa, po Effendim najbardziej przeze mnie lubiany, który z wszystkiego się śmieje, ale wszystko bardzo głęboko przeżywa. Poza tym na pewno czuwają i czekają na wiadomości o nas kapitan J. i angielski major P. Morowi ludzie i bardzo przejęci swoją pracą. Rozmawiają zawsze ze sobą łamanym, bardzo śmiesznym językiem polskim, bo major P. ma na tym punkcie hyzia i lubi się popisywać swą polszczyzną wobec Anglików. Jego przedziwnie tworzone i jeszcze dziwniej akcentowane polskie wykrętasy były dla nas zawsze powodem do uciechy, wielu Anglików jednak uważało go za speca od języka polskiego.

Buka nachyla się do mnie i woła: „Major P. mówi pewnie teraz do kapitana J.:

— Pan kapitan, mozno spać już, ja tutaj do rano.

A na to kapitan:

— Nie — pan major spać — ja do rano.

— O, zienkuje bar-zo. To jest niemozliwo. To jest mój — jak to po polsku — duty.

— Obowiązek — mój także.

— A to zienkuje bar-zo. My tutaj dwa. Whisky?

— Yes, tenk you”.

Śmiejemy się obaj z Buką i wzdychamy. On na pewno z powodu wspomnień o whisky, a ja? czy ja wiem, z jakiego powodu? — z emocji chyba. Bo czuję, że wszystko, co mówimy jest nieważne — ważny jest teraz tylko skok. To nie my mówimy, nie my się śmiejemy, nie my myślimy — ale my, na pewno my, będziemy za chwilę skakać w dół, na łeb, na szyję.

Już prawie trzy kwadranse lecimy w górę Wisły. Dziwimy się, że Niemcy tak słabo przestrzegają *black-out*’u, co jakiś czas światła, coś miga dołu — i sunie pod nami krajobraz. Czuję, że cichy, uśpiony kraj nie oczekuje takich gości, jak my. Czasem spoglądam przez okienko na kraniec skrzydła samolotu, czasem na jego ogon. Jest coś imponującego w spokoju „Halifax’a”. Zaczynamy się usadawiać w koło nieotwartej dziury. Od strony ogona Maciej i worek, trzymany przez sierżanta, od strony pilota siedzi nas pięciu w kolejności skoku: Marian, Buka, ja, Effendi i Doktór.

Sierżant uważnie sprawdza po raz ostatni czy linki spadochronów są należycie umocowane na hakach. W samolocie jest ciasno, więc sierżant przeciska się pomiędzy nami, jakimś instynktem wiedziony orientuje się

w półmroku i plątaninie linek i naszych nóg, gdyż siedzimy jeden obok drugiego i jeden naprzeciw drugiego. Kolejność skoku jest nieco skomplikowana i trzeba ją dobrze zapamiętać, bo odtąd najdrobniejszy szczegół może zadecydować o powodzeniu całej sprawy. Pierwszy ma zeskoczyć Marian, następny z przeciwnej strony Maciej, po czym znowu z naszej strony Buka. . Po Buce „Wykidajło" ma zrzucić worek z rzeczami. Worek ten stanowi jak gdyby *intermezzo* pomiędzy pierwszą a drugą trójką. Po nim zeskakujemy już w kolejności normalnej wszyscy z jednej strony dziury: ja, jako pierwszy, Effendi drugi i Doktór trzeci. W pierwszej trójce komendantem jest Marian, w drugiej Doktór. Przez warkot motorów siedzący obok mnie Doktór wykrzykuje mi do ucha po raz wtóry instrukcje. Po skoku mam obserwować w powietrzu worek i zapamiętać miejsce jego upadku. Po wylądowaniu czekać na zbiórkę całej naszej trójki, którą zaprowadzę na miejsce, gdzie upadł worek. To samo uczynić ma trójka pierwsza i w ten sposób worek będzie punktem zbiórki całego desantu. Sierżant otrzymuje od pilota informacje, że zbliżamy się do celu i że należy otworzyć klapę. Klapa zacina się, widać wysiłek sierżanta, który wreszcie z pomocą jednego z bliżej siedzących otwiera ją. Uderza nas gwałtownie mroźny prąd powietrza, w samolocie jest znowu niesamowicie zimno. Nie czujemy już tego jednak prawie, jesteśmy u szczytu podniecenia; wlepiamy oczy w dwie lampki, które za moment rozbłysną kolejno dwoma kolorowymi światłami: zielonym i czerwonym. Pierwsze z nich to sygnał „*action stations*", —drugie to sygnał rozpoczęcia skoku „*go*!".

Nie mogę oprzeć się pokusie, by spojrzeć w dół. Widzę ośnieżone pola i zacierające się w mroku nocnym kontury lasów. Trudno coś więcej odróżnić, wszystko inne zlewa się — a przy tym co chwilę wydaje się, że płaszczyzna ziemi ustawia się pod różnymi do samolotu kątami. W istocie samolot przechyla się na skrzydła, kołując nad miejscem, gdzie mamy skakać.

Po raz pierwszy zaczynam pojmować, że sekundy mogą wlec się jak godziny. Oczekiwany moment zabłyśnięcia światełek nie nadchodzi. Na wszystkich twarzach widać zaniepokojenie i zdziwienie. Byle nie wracać!

Nagle przychodzi nieoczekiwany rozkaz powtórnego zamknięcia klapy; prawdopodobnie nawigator stwierdził jakąś pomyłkę w swoich obliczeniach. Marian wstaje i przeciska się ku kabinie pilota, aby dowiedzieć się, dlaczego skok opóźniono. Zaczynamy uświadamiać sobie, że zbliża się świt i że może nam nie starczyć nocy na zatarcie śladów lądowania i „oderwanie się" od miejsca desantu.

Po chwili Marian wraca, uśmiecha się do nas; orientujemy się, że wszystko jest „*O.K.*", i po kilkunastu minutach z ulgą widzimy, że sierżant ponownie przystępuje do otwarcia klapy. Tym razem magiczne zielone światełko rozbłyska na ścianie. Przez huk motoru słyszymy komendę sierżanta — „Wykidajły", który trzymając jedną ręką worek, stoi nad otworem i oczekuje drugiego sygnału. W drugą jego rękę wzniesioną w górę Marian patrzy jak urzeczony. On jest pierwszy, ja natomiast mam jeszcze sporo czasu, bo skaczemy w odstępach mniej więcej co pół sekundy, a ja skaczę piąty. W tych kilku sekundach mogę jeszcze obserwować wszystko, co się dzieje wokół mnie... mogę myśleć.

Ale cóż to za myślenie? Po głowie łażą mi gorączkowo słowa, z których tak często śmieliśmy się na punkcie wyczekiwania. Są to słowa wypowiedziane w czasie skoku przez jednego z nielicznych naszych poprzedników, który po prostu wypadł niechcąco przez dziurę, klnąc i gadając bez przerwy „Chciałeś Polskę — masz Polskę"... i przy tych słowach — buch... poszedł w dół. A następni nie skoczyli, bo ten przecież wypadł a nie skoczył. Nikt go nie prosił o skok. Skoczyli grubo później — w kilka sekund po nim — i już się z nim nigdy nie zeszli."

„Chciałeś Polskę — masz Polskę! Chciałeś Polskę — masz Polskę!

Mimo woli uśmiecham się, choć mi wcale nie do śmiechu. A potem ni stąd ni zowąd martwię się co się dzieje z harmonią. Ma wrócić cało do Anglii i Tońcio z grupy „*Shirt*" ma się nią zaopiekować, a potem weźmie ją Andrzej z „Collar'u". Rozglądam się. Harmonia leży spokojnie na poplątanych rurkach aparatów tlenowych.

Myśli mnie nagle odbiegają. Próbuję się modlić, ale nie mogę się skupić. Szepczę spieczonymi wargami: „Pod Twoją Obronę, Pod Twoją Obronę..." dalej mi się plącze, nagle... już: błyska czerwone światełko! Ręka sierżanta opada szybkim ruchem w dół, a wraz z nią w otchłań pod nami zapada się Marian, za nim tuż skacze z przeciwnej strony siedzący Maciej. Buka siedzący między mną a otworem przysuwa się doń szybko i znika, ja już siedzę na jego poprzednim miejscu. Znak krzyża! Przede mną w otworze znika worek i znowu w ułamek sekundy później skaczę. „*Go*!"

Teraz... taaak... wyprostuj się, usztywnij całe ciało! Na tym się kończą moje myśli szybkie, urywane, zimne, a bezwiedne. Jestem na chwilę tylko automatem. Coś mi się kręci po głowie — czuję pęd i wiatr i to, że teraz jest coraz bardziej, coraz przeraźliwiej cicho. To wszystko aż do momentu potężnego szarpnięcia. Oooh! Otworzyła się czarna czasza mego jedynego obecnie przyjaciela — spadochronu. Lecę sam, samodzielnie, nie ma już dla mnie powrotu na samolot, nie ma powrotu do Anglii. Bujam się w powietrzu, zaczynam znów odczuwać przyjemność tej chwili, jak przy każdym skoku. Tylko... że teraz nikt tam na dole nie czeka na nas z herbatą, nikt nam nie udziela przez megafon przestróg i rad. Nie słychać spokojnego głosu kapitana, kierownika kursu spadochronowego: „*Number two — feet together... good... good... all right*".

Uświadamiam sobie nagle, że jestem nad terytorium opanowanym przez Niemców. Zimny dreszcz. Macam odruchowo, czy moje Colt'y są w porządku i zaczynam się rozglądać po świecie.

Cisza kompletna. Uszom, przyzwyczajonym do równomiernego huku motorów, trudno ją znieść.

Pod nogami biało — wiatr mną silnie kołysze. Manipuluję linkami spadochronu, próbuję bezskutecznie opanować niebezpieczny ruch wahadłowy. Coś mnie ściska w dołku, ale za chwilę zapominam o tym. Widzę przed sobą spadochrony — liczę: raz, dwa, trzy, cztery... robię przepisowo „*turn out*" i widzę dalsze dwie czasze i skulone poniżej postacie skoczków. Obracam się powtórnie i... włosy stają mi dęba pod gumową czapką... Boję się, boję się ogromnie, bo nagle wyrasta upiornie pod mymi nogami czarny, duży, przepaścisty las!! Jest trochę na ukos — zbliża się jednak szybko, podchodzi pode mnie, jakby mnie chciał chwycić czarnymi mackami za gardło. Pierwszy spadochron już się w nim zanurzył i zniknął, drugi wpada też w las, trzeci pochłonięty... czwarty... „To worek! —coś we mnie woła—uważaj!" Obserwuję kierunek i odległość jego lądowania. Wiatr mną rzuca, modlę się „Boże, byle nie w las, byle nie w las".

Nieprzyzwyczajony do śniegu, nie umiałem ocenić odległości mej od ziemi. Zdawało mi się, ze jeszcze czas na podciągnięcie się i nagle... grzmotnąłem z dużą siłą o coś twardego, wywróciłem przepisowego, choć bardzo bolesnego kozła, najadłem się śniegu i wstałem na równe, trzęsące się nieco nogi.

Śnieg zapchał mi usta, uszy, zatkał oczy, znalazł się i za karkiem. Dałem sobie z nim szybko radę i stwierdziłem, że ręce i nogi mam nienaruszone. Spojrzałem przed siebie i zrozumiałem nagle, iż to jest cud, że żyję. Wylądowałem bowiem w odległości mniej więcej półtora metra od olbrzymiego drzewa — brakowało ułamka sekundy, aby silny wiatr rozbił mnie na miazgę o jego potężny pień. Byłem tuż na skraju lasu i naprawdę tylko Opatrzność Boska to sprawiła, że zabrakło tego krótkiego czasu

i równie krótkiej przestrzeni, abym nie leżał teraz pod drzewem — nieruchomy i stygnący.

Odetchnąłem głęboko i rozejrzałem się dokoła.

Cisza... Tylko wiatr szumi w lesie.

Odpiąłem i zwinąłem szybko spadochron. Tak, jak w „szkółce", uczyli. Umieściłem go pod drzewem, sam na nim usiadłem. Rozpiąłem lepiej automatyczne zamki kombinezonu, bym mógł w razie potrzeby szybko wyrwać pistolet z kieszeni. Zacząłem obserwować gołe pole, rozciągające się daleko przede mną i długi, podwójny rząd drzew—które wyglądały zupełnie jak polskie wierzby przydrożne. Tak — tam jest szosa.

W ciszę wpadł jakiś daleki warkot — to samolot... Zrozumiałem, że wraca nasz „Halifax". Widać dwa światełka na skrzydłach. Dopiero teraz uprzytamniam sobie, co to za potwór. Czarny, olbrzymi kolos sunie dość nisko nad ziemią, która aż dudni i drży razem z powietrzem od stalowego oddechu jego czterech potężnych, ryczących gardzieli.

Ale po co wraca? Aha! Mówił Marian, że ma wrócić i jeśli dostanie od niego znak latarką, to zrzuci „*container*" z bronią, amunicją, materiałami wybuchowymi i radiostacjami. Ciekawy byłem czy Marian da ten znak. Obserwowałem samolot, ale nic się od niego nie oderwało... żadnego spadochronu w powietrzu. Widocznie Marian nie dał był znaku z lasu.

„Halifax" zatoczył olbrzymi łuk. Korciło mnie coś, aby dać sygnał świetlny, ale na szczęście wstrzymałem się. Z żalem obserwowałem, jak czarny ogrom malał w oddali — jak go wkrótce noc pochłonęła, jak wreszcie szum drzew zmógł jego głuche, uparte warczenie. W uszach mi dźwięczało, w głowie huk. Odleciał do bazy. Jeśli mu będzie ciężko dolecieć, wrzuci „*container*" do morza.

Dreszcz mnie przeszedł. Zimno... Jest chyba ze 20 stopni mrozu. Ogromny przeskok z temperatury angielskiej. Drętwieję.

Na polu przede mną widzę dwa czarne punkty. Ruszają się, ale jakoś niemrawo. To Effendi i Doktór. Po pewnym czasie punkty się zeszły i... nie wykazują żadnej ochoty do dalszego poruszania się.

Zły jestem, mieli przecież dojść do mnie. Czekam dość cierpliwie, ale wreszcie zaczyna mnie to denerwować. Cóż oni tam robią na śniegu? Dlaczego nie podchodzą do lasu? Zdecydowałem się postąpić wbrew rozkazowi Doktora. Idę w ich kierunku. Spadochron zostawiłem pod „moim" drzewem — łatwe było ono do odnalezienia, bo wyróżniało się ogromem od swego leśnego otoczenia.

Brnę w śniegu. Zbliżam się do dwóch leżących postaci na odległość kilku kroków i widzę z osłupieniem, że Doktór i Effendi celują do mnie ze swych pistoletów, opartych na wyciągniętych lewych rękach.

Tego tylko brakowało, żeby mnie swoi postrzelili.

Machnąłem kilka razy rękami i zawołałem szeptem: „Effendi, Effendi!"

„To ty, Celt.. no to chwała Bogu".

Odetchnęliśmy wszyscy trzej. Miałem do nich podświadomy żal, że do mnie celowali. Ale mi to przeszło.

„Dlaczego nie podeszliście do mnie?" — pytam.

„Bośmy cię nie widzieli — a poza tym Effendi ma skręconą nogę, a ja rękę" — odpowiada Doktór.

Kazałem im iść w kierunku wysokiego drzewa i tam czekać koło mego spadochronu. Ja sam nosiłem po kolei ich spadochrony i kombinezony.

Przy drugim nawrocie zastałem już na skraju lasu Bukę. Ucieszyliśmy się bardzo i wziąwszy wszystkie nasze rzeczy, udaliśmy się z nim razem w głąb lasu. Po drodze Buka opowiadał nam dzieje lądowania ich trójki. Marian uderzył był głową i całym ciałem o pień drzewa tak silnie, że był prawie nieprzytomny, leży teraz na śniegu i wymiotuje krwią. Maciej i Buka zawiesili się swoimi spadochronami na drzewach, ale na takiej właśnie wysokości, że sami — szczęściarze — stanęli na ziemi bezpiecznie, spokojnie i „wprost na nogi". Wszystkie trzy spadochrony są nie

do zdjęcia z drzew, a worka dotąd jeszcze nie znaleziono. Pokazałem kierunek, w jakim widziałem lądowanie worka i poszliśmy tam wszyscy. Po drodze przyłączył się do nas Maciej i on to po kilku minutach zauważył worek, ale niestety tak wysoko wiszący, że o zdjęciu jego zwątpiliśmy od razu.

Zdjąłem kombinezon i rozglądnąłem się za miejscem, odpowiednim do ukrycia rzeczy. Kopiąc dół na spadochrony i kombinezony naszej trójki, myślałem ze smutkiem o swych cywilnych rękawiczkach, które nieopatrznie zapakowałem był do worka, zamiast mieć je przy sobie.

Przyszedł Marian, osłabiony i blady, ale już zdrowszy. Skarżył się na ostry ból głowy, lecz bardziej jeszcze zmartwił się „stanem" naszego worka. Za chwilę odwołał mnie od kopania dołu, który kazał kończyć Doktorowi, a mnie jako najmłodszemu i może najsilniejszemu z ekipy polecił wleźć na jedno z drzew, na których zaczepił się worek.

Drzewa były proste, bez gałęzi i na kilkanaście metrów wysokie,okazały się przeszkodą nie do przebycia. Zdjąwszy zegarek, i oddawszy go do potrzymania Effendiemu, trzy razy podejmowałem walkę z drzewami, stosując do pomocy i pasy i odcięte sznury spadochronowe — nic jednak nie pomagało, nie wylazłem ani raz wyżej niż trzy-cztery metry i za każdym razem spadałem ciężko w śnieg. Próbowali potem inni z jeszcze gorszym rezultatem. Wszyscy byliśmy przemęczeni, przemarznięci, zdenerwowani. Nie udało się też żadnemu z nas zdjąć z drzew trzech pierwszych spadochronów.

Kończyłem zasypywać dół z naszymi spadochronami, gdy usłyszałem, że Marian powziął już ostateczną decyzję. Mianowicie: on i Effendi zostają na miejscu; rano, gdy się zupełnie rozwidni pójdą do najbliższej wsi (która nie była daleko, bo wyraźnie było słychać szczekanie psa i rąbanie drzewa), wezwą pierwszego z brzegu chłopa do pomocy w zdjęciu worka i w zlikwidowaniu śladów desantu. Do zdjęcia worka użyją albo drabin i tyk, albo po prostu zetną oba drzewa. My czterej, to znaczy Maciej, jako komendant, Doktór, Buka i ja mamy natychmiast odejść stąd, oderwać się od miejsca lądowania i udać się na najbliższy z „kontaktów".

„A czy kto wie, gdzie jesteśmy?" — zapytałem.

„Pilot zrzucił nas koło Skierniewic, w ustalonym przeze mnie punkcie i ja nawet ten las poznaję" — odparł Marian.

Widząc, że Buka kręci głową (a powinien był on znać te okolice), zapytałem powtórnie: „Czy jesteś pewny, że jesteśmy koło Skierniewic?" —

„Pewny, zresztą nie przeszkadzaj".

Usiłowałem go przekonać, że zostawać w tym miejscu jest dla nich dwóch niebezpiecznie, że nie wiadomo, czy słyszane przez nas odgłosy nie pochodzą z niemieckiej leśniczówki i że w każdym razie nie powinien tu zostawać Marian, który jest chory. „Porzućmy tu ten worek i oddalmy się stąd jak najszybciej i wszyscy".

Marian jednak nie zmienił zdania. Powiedział parę ostrych słów o niesubordynacji i wreszcie odezwał się łagodniej „Effendi i ja zostajemy jeszcze i dlatego, że najlepiej strzelamy. No — idźcie już, bo robi się dzień — zbyt dużo czasu straciliśmy przez ten cholerny las. Do widzenia w Warszawie".

Nie przeczuwał, biedak, że przez ten las stracą życie on i Effendi.

Pożegnaliśmy się krótko i odeszliśmy gęsiego, brodząc po śniegu. Las szumiał nam na pożegnanie. Niebo zaczęło blednąć, gwiazdy znikały jedna po drugiej. Wstawał dzień.

Idąc na końcu milczącej czwórki, zwróciłem całą swoją uwagę zupełnie bezwiednie na wstawianie nóg w ślady poprzedników. Nie myślałem chyba o niczym przez dobre kilkanaście minut. Nagle uprzytomniłem sobie, że zostawiłem mego „Schaffhausena" u Effendiego. Zmartwiłem się. O powrocie nie było mowy. Odeszliśmy już daleko, kto wie, czy oni zostali na miejscu, wreszcie w gęstym lesie łatwo się zgubić.

No trudno — westchnąłem — odbiorę sobie zegarek w Warszawie. Przecież Effendi zjawi się tam niedługo, może nawet przed nami. Bo my przecież ciągle nie wiemy, gdzie jesteśmy i czy na pewno w dobrym idziemy kierunku. Południowy wschód. Wydaje się na oko, że nigdy nie może być ten kierunek zły w tych okolicach. Zresztą lotnik nie zrzucił nas przecież zbyt blisko granicy, punkt wybrany przez Mariana był podobno oddalony od niej o 60 klm.

Myślę o tym, kiedy się ten las skończy i co za nim będzie.

Po głowie przemknęło mi przykre wspomnienie. Przypomniałem sobie rozmowę, jaką miałem pewnego razu z Effendim. Wracaliśmy właśnie byli razem z kina. Był to okres wyczekiwania na nasz „wielki film życia". I wtedy Effendi powiedział: „Widzisz, Celt, ja nie mam złudzeń co do mej przyszłości. Na pewno zginę przy tej naszej eskapadzie — to jest zresztą moje założenie. Lecę po prostu z tą świadomością, że lecę na śmierć, a jeśli nie zginę, będę mile rozczarowany, że los użyczył mi jeszcze kilku lat pożytecznego, bo w Polsce spędzonego życia". Oponowałem gorąco — „przecież to nie takie groźne, przecież nie możesz podchodzić do naszej wyprawy z takim założeniem"—ale go nie przekonałem. Jeszcze raz wyłożył mi smutno swoje poglądy i umilkł. Potem rozmowa zeszła na inne tory i Effendi znów był wesoły, jak zwykle. Znów gwizdaliśmy „na dwa głosy" różne marsze i piosenki, albo śpiewaliśmy głośno schrypniętymi od zimnego powietrza głosami: on dobrym barytonem, ja — kiepskim tenorem.

Śnieg stawał się coraz głębszy. Byliśmy już wszyscy trochę zmęczeni marszem, szliśmy coraz wolniej, przystawaliśmy coraz częściej. Było już całkiem jasno, kiedyśmy stanęli na brzegu lasu. Przed nami pola i chaty. Jakaś wieś.

Maciej zarządził odpoczynek; zjedliśmy po kawałku skondensowanej czekolady, po parę kostek skondensowanego mleka, i trochę również skondensowanych owoców. Buka połknął po kryjomu pastylkę na wzmocnienie energii, udałem, że tego nie widzę i zrobiło mi się przykro kiedym sobie przypomniał, że kilkanaście minut temu zwróciłem mu niegrzecznie uwagę, aby nie sapał tak głośno i nie ustawał. „No cóż — odpowiedział bez gniewu — robi się już bokami. Piąty krzyżyk zaczynam, nie tak jak ty". A po chwili marszu dodał: „Właściwie mógłbym być twoim ojcem, rajskie szczenię". „Pssst" — syknął wtedy Maciej i uciszył nas. I dobrze się stało, bo już, już miałem na języku odpowiedź, że Buka nie mógłby być moim, ani niczyim ojcem. Zrobiłbym mu tym ogromną przykrość, bo wiem, jak strasznie cierpiał nad tym, że nie mógł mieć dzieci.

Przypomniałem sobie nagle, że przecież ja wciąż mam na swych rękach spadochronowe, długie, podobne do hockey'owych, rękawice, a cywilne zostały w worku. Nie mogę się ludziom pokazać z takimi rękawicami. Trzeba je uciąć na wysokości kostki, by wyglądały na normalne skórzane rękawiczki. To już mniej niebezpieczne.

Zabrałem się energicznie do dzieła — tak energicznie nawet, że nowym ostrym nożem przeciąłem sobie środkowy palec lewej ręki dosłownie na pół.

Krew na mrozie szybko upływa, pod nogami zrobiło mi się czerwono. Udało się wreszcie Doktorowi zatamować ją trochę, gdy założył mi na palec cały opatrunek osobisty. Ze smutkiem i niepokojem patrzyłem na unieszkodliwioną rękę. W żadnym wypadku nie będę się nią mógł posługiwać. Miała mi służyć do Colt'a schowanego na piersiach w prawej wewnętrznej kieszeni, podczas gdy prawa ręka miała swój pistolet w zewnętrznej prawej kieszeni ukośnej.

Będę zdany wyłącznie na prawą rękę. Gorsze jednak jest to, że krew zaczyna przeciekać przez opatrunek.

„Pójdziemy teraz do wsi — mówi Maciej — dowiemy się ostatecznie gdzie jesteśmy, zorientujemy mapę i wtedy dopiero pójdziemy dalej, już nie na ślepo. Co wy na to?"

Oponuję. Nie możemy iść do wsi z całym naszym, pochowanym po kieszeniach bagażem, z pocztą i z pieniędzmi. Czy nie lepiej będzie zakopać to tutaj i pójść dalej tylko z bronią. A nuż w tej wsi będą żandarmi niemieccy. Jeśli nas złapią, wpadnie poczta i pieniądze.

Maciej nie chce się z tym zgodzić, nie pozwala mi niczego zakopywać. Mówi, że szkoda czasu, bo już dochodzi dziewiąta. „Dziś niedziela—ludzie zaraz będą się kręcić — musimy szybko przejść przez wieś i pójść dalej. Żandarmi nie mogą być w każdej wsi".

Doktór poparł Macieja i ten ostatni wydał polecenie, aby Buka ze mną szedł przodem, a on i Doktór pójdą o kilkaset kroków za nami.

Po przejściu pola, dzielącego las od wsi i głębokiego rowu, oddzielającego pole od szosy, a zasypanego po brzegi śniegiem, weszliśmy na szosę. Świeciło słońce, śnieg skrzypiał pod nogami, znad wszystkich prawie chat unosiły się spokojne słupy dymu.

Mieliśmy się obaj na baczności — rozmawialiśmy mało, rozglądając się bacznie dokoła. Nasi koledzy wyszli właśnie z lasu. Ich nienaturalne postacie, obładowane pasami z pieniędzmi i pocztą, brnęły śmiesznie po śniegu. Szli naszym śladem. Uprzytomniłem sobie, że i ja muszę wyglądać dziwnie grubo i śmiesznie, zwłaszcza, że krótka kurtka uwydatniała jeszcze mój nabrzuszny ładunek. Spojrzałem na swój pękaty cień i roześmiałem się z zakłopotaniem.

Spoważniałem jednak natychmiast. Z daleka ujrzałem tablicę orientacyjną. Szybkim krokiem zaczęliśmy się do niej zbliżać — wprost pod słońce.

Pociemniało mi nagle w oczach. Przeczytałem:

„Deutsches Reich, Bezirk Plock, Dorf Aleksandrow".

Jezus, Maria! Rzesza... Zachodnie tereny polskie przyłączone do Rzeszy. Lotnik nas zrzucił po tej stronie granicy. To pewnie Niemcy ci dwoje, co się nam przypatrują zza okna najbliższej chaty.

Stoimy jak urzeczeni. Ochłonąłem dopiero, gdy nadeszli tamci dwaj. Zdębieli jak i my, ale nie pozwoliłem im długo medytować, bo bardzo niepokoiły mnie te dwie twarze zza okna. Przysiągłbym, że to Niemcy. Jedna twarz — męska... znikła. Pewnie poszedł zawiadomić policję!

Radzę, aby natychmiast przejść przez wieś na ukos i dopiero w tym tam drugim lasku zorientować się w sytuacji. Stanie tutaj nie ma sensu, może się zrobić jakie zbiegowisko. Ciągnę Bukę za rękę i idziemy. Maciej i Doktór zostają, idą wolniej w nasze kroki. Minęliśmy kilka chałup i skręciliśmy na wschód — w pola. Szedłem dość szybko, myśląc z rozpaczą, że mamy od początku pecha. Jesteśmy po niemieckiej stronie, ale jeszcze nie wiemy gdzie. Tymczasem tamci dwaj: Marian i Effendi liczyli na pomoc polskich chłopów w zdjęciu pakunku. Mapę ma Maciej — trzeba ją zaraz w lesie zorientować, ustalić miejsce naszego pobytu w terenie.

A to cholerna przygoda. Ten nawigator—też lepszy specjalista. Krążył otwierał klapę, zamykał klapę, znowu krążył i w końcu, rzucił nas do Rzeszy.

Zły jestem i ponury. Nie mam pojęcia, jak sobie poradzimy z granicą. Nikt z nas nie zna terenu. Można by chyba zaczaić się na jakiegoś człowieka i sterroryzować go, by nas doprowadził do granicy i objaśnił położenie. Wszystko jedno Niemiec, czy Polak.

W potok moich myśli wpadły dwa szybkie słowa Buki, krótkie, zdyszane: „Celt, granica!"

„Gdzie?"

„Tam" — wskazał nieznacznie ręką.

Tak. Istotnie — to granica.

Widzę wąską, okrągłą budkę. Okno na wysokości głowy człowieka biegnie dokoła całej budki — a do szyby przykleiły się dwie twarze. Dwie pary oczu obserwują nas. Z budki unosi się dym.

Idziemy dalej, ale po kilku krokach stajemy. Dochodzi Maciej i Doktór i już razem, bez słowa, podchodzimy naszą dróżką do drugiej, większej, prostopadłej. To jest właśnie granica. Przy tej większej dróżce stoi budka — o 20 metrów od skrzyżowania z naszą dróżką i na lewo. Idę pierwszy.

A jednak myślę — intensywnie myślę. Trochę nawet cieszę się z tego, że myślę, że nie straciłem głowy. A więc dojdziemy do żerdki na granicy, przejdziemy ją i pójdziemy dalej wolnym, normalnym krokiem, jak gdyby nigdy nic. Ich jest dwóch, nas czterech, może nie zaczepią. W i lesie będziemy już biec. A jeśli nas zaczepią, powiem, żem przemytnik dam im po sto marek za pozwolenie przejścia granicy. Może się uda...

Dochodzę do żerdki, nie patrząc w stronę budki. Słyszę coś, jakby skrzyp drzwi od budki.

Nagle powietrze przeszywa długi, przeraźliwy, dwutonowy gwizd.

Patrzę w lewo. Dwaj „Grenzschutz'e" stoją obok budki.

Karabiny wymierzone w nas.

Jeden z nich gruby, czerwony na twarzy feldfebel gwiżdże na syrenie.

Woła do nas po polsku i po niemiecku na przemian „Tutaj, *alle vier*, wszyscy tutaj!..

A więc jednak nie nastraszyli się nas — myślę tępo.

Idziemy w tej samej kolejności. Staję na trzy kroki przed czerwonym grubasem i patrzę mu ponuro w nalaną twarz.

„*Was füa einer ? — Pole?*"

„*Jawohl.*"

„Kto to jest?"

Zaczynam mu mówić, że jestem Polak — przemytnik, że idę do Skierniewic (na chybił trafił) z towarem i że mu dam sto marek i temu drugiemu także, żeby nas puścili, bo myśmy biedni i td. w kółko Macieju.

I rzeczywiście „w kółko Macieju", bo i Maciej mówi to samo. Już nawet wyjął kilkadziesiąt „Młynarek" i wyciąga je ku żołdakowi, ale ten ani na mnie, ani na Macieja nie zwraca najmniejszej uwagi i pyta z kolei Bukę. Buka wyciąga dowód osobisty i pokazuje. Niemiec zwraca się do Doktora, który bąka coś pod nosem.

Widać, że żołnierz nie wie, co z nami zrobić, albo że na coś czeka.

W tej właśnie chwili dróżką, którą myśmy szli przed paru minutami, przybiegł olbrzymi pies-wilczur, typowy pies straży granicznej i zaraz za nim nadszedł oficer niemieckiej straży granicznej z pistoletem w ręce.

Krótka, szybka wymiana słów między oficerem i podoficerem. Ten pierwszy wskazał ręką kierunek i coś rozkazał. „*Aber schnell — also, wer von ihnen?*" Żołnierz zaczął się gorąco wymawiać, oficer zgodził się, żołnierzowi rozpogodziła się twarz — został. Wyprosił się w ten sposób od śmierci.

Feldfebel oparł karabin o ścianę budki, wyjął parabellum, wskazał ręką którędy pójdziemy i krótko warknął. „*Na*, już — chodzić!" — a potem dodał groźnie wskazując znacząco na swój pistolet: „Tylko — uwaga!"

Uderzyło mnie podobieństwo polszczyzny feldfebla do... czyjej? — aha! majora P. Majora P.? Gdzie to było? Kiedy? Czy mnie się to wszystko śni? Zakręciło mi się w głowie, straciłem na chwilę poczucie rzeczywistości.

Przywrócił mnie do niej ból w plecach. To oficer uderzył mnie mocno lufą pistoletu. Zrobiłem kilka kroków i oglądnąłem się. Żołnierz mierzył do nas z karabinu, za nami postępowali oficer i feldfebel z pistoletami w prawych rękach i pies.

Ruszyliśmy dróżką — „rojem" — niezbyt szybkim krokiem.

Rozmawialiśmy po cichu.

„Trzeba było zakopać wszystko w lesie".

„No i teraz co?"

„Oczywiście musimy dać „koncert" t.zn. wystrzelać jak najwięcej Niemców".

„Ale oni nas na pewno też wykończą i poczta, pieniądze przepadną".

Maciej strasznie speszony, blady, ponury. W nagłym przypływie żalu i złości wygaduje na siebie „po łacinie", i ciągle twierdzi, że on powinien zginąć, bo nawalił, ale my się może uratujemy jeszcze.

Radzimy szeptem, co zrobić.

„Strzelać tutaj nie ma senau, bo strzały w polu zwabią zaraz innych strażników."

„Tamten mierzy do nas z tyłu z karabinu, tu dwa pistolety—a z przodu znowu idzie dwóch z karabinami".

„Pistoletami przeciwko karabinom nie poradzimy w polu.'

„Mają dużą przewagę".

Radzę zaczekać i strzelać dopiero w pierwszej izbie, do jakiej nas zaprowadzą, aby dokonać rewizji. I tak szczęście nasze, że nie zaczęli rewizji od razu przy budce. W izbie, po wybiciu Niemców, którzy do niej z nami wejdą, będziemy się mogli jakiś czas bronić przeciwko tym, którzy zostaną na zewnątz. Może uda się zniszczyć wtedy pocztę i spalić pieniądze. A zresztą — tak po polsku — jakoś to będzie. Nic innego nie wymyślimy.

Słowo „koncert" przyjęło się. Wszyscy się zgodzili na mój pomysł. Maciej był dziwnie potulny, Buka natychmiast mnie poparł, Doktór nic nie mówił i patrzał ponuro w ziemię. Ni stąd ni zowąd poczułem się komendantem całej grupy.

Milcząc, brnęliśmy po śniegu. Bałem się — to jasne. Ale gdy tylko uprzytomniłem sobie, że się boję—zacząłem walczyć ze strachem. Wiedziałem, że jeśli mnie trwoga opanuje zupełnie, wszystko przepadnie. Wiedziałem, że muszę myśleć i działać.

Przez jakiś czas przypominałem sobie bezwiednie różne momenty mego życia, drogie mi osoby, okolice, do których byłem przywiązany. Ale to minęło. Wiedząc, że nie zwalczę pesymizmu — choć to właściwie nie był pesymizm, tylko trzeźwa, realna ocena sytuacji, — skoncentrowałem swe myśli na przyszłej walce. To mi dobrze zrobiło.

A jednak jakaś niejasna nadzieja wwiercała się w mój mózg, nieśmiało, powoli, ale bez przerwy. A jednak może...

Przyłączyło się do naszej grupy dwóch żołnierzy z karabinami, potem z następnej budki oficer znów wziął jednego.

Tak — trzeba zacząć strzelać w izbie. Maciej podał nam adres swego kontaktu i hasło.

„Na wszelki wypadek — bo może ja zginę, a wy się uratujecie".

Doktór szedł obok mnie i milczał. Aż raptem szepnął:

„Pamiętasz? Pamiętasz? grałeś nam podczas mszy marsza pogrzebowego".

Przypomniał mi ten przykry moment. Pewnego razu, kiedy czekaliśmy wszyscy na punkcie wyczekiwania przyjechał do nas z Londynu ksiądz Staniszewski, by odprawić mszę i zawiesić nam na szyi poświęcone szkaplerzyki z Komunią Św. A że w moich fałszywych dokumentach miałem zawód „organista"—major P. wskazał mi w kapliczce fisharmonię i rzekł po swojemu:

„No, pan Celt — jesly organista, to bar-zo prosze, organy jest".

Wszyscy go poparli — zacząłem więc grać.

Po krótkim czasie wyczerpał się mój skromny repertuar pieśni kościelnych — zacząłem więc etudę Szopena „Żal" — a potem przeszedłem do Drugiej Rapsodii węgierskiej Liszta. I wtedy — już przy pierwszych jej poważnych taktach — zbliżył się do mnie Doktór i zdenerwowanym głosem szepnął:

„Zwariowałeś? W takiej chwili będziesz nam marsze żałobne wygrywał? Przestań!"

Przerwałem bezwiednie — wszyscy spojrzeli na nas. Czułem, że jestem czerwony i blady na przemian. Starałem się Doktorowi wytłuma-

czyć, co grałem, ale on już odszedł był na swoje miejsce... Po mszy św. jeden tylko Effendi stanął w mojej obronie, przyświadczając, że to nie był marsz żałobny, tylko Rapsodią. Inni milczeli — nastrój był dość ponury.

Stanęło mi to wszystko żywo przed oczyma. Uczułem żal do Doktora, że mi ten moment przypomniał. Jeszcze bardziej zdenerwował mnie teraz niż wtedy.

Zeszliśmy z dróżki w pole. Co chwila rów, bruzdy pełne śniegu. Rozmowa, dotąd przyciszana, urywa się. Myślę sobie, że nikt z rodziny nawet nie będzie wiedział, gdzie to ja będę leżał w zimnej ziemi. Matusia nie domyśla się nawet, żem w Polsce, a Ewa, mój Boże! Szkoda życia, ale cóż robić. Może przynajmniej tamci dwaj z lasu się uratują. Może „los" podaruje jednak Effendiemu jeszcze kilka lat „pożytecznego życia". A tymczasem ja, który nie miałem żadnych złych przeczuć, będę leżał spokojny na zawsze pod białym, śnieżnym całunem. Jedyna pociecha, że na polskiej ziemi, w polskiej ziemi.

Gdzieś z podświadomości wypełzło nowe, natrętne, przykre zdanie. „Rozdziobią nas kruki, wrony". — Skąd się to przypętało? Brrr!

Jak te wypadki gonią szybko jeden za drugim. Wczoraj w południe byłem w Londynie. Jadłem śniadanie w Brasserie Universelle przy Piccadilly Circus — a dziś jestem w Polsce i już zdążyłem być złapany przez Szwabów i... za jakąś godzinę już mnie nie będzie.

Modliłem się gorąco. Długo, najprawdziwiej w życiu.

Ale myśli znów przychodziły. Matusia wraca pewnie z kościoła, albo może idzie doń dopiero i będzie się za mnie modlić, jak zawsze modli się za nas wszystkich, rozsianych po całym świecie. I Ewunia, gdzieś na Węgrzech i siostra Stasia, gdzieś hen na Syberii. Trochę mi raźniej, że się ktoś modli za mnie. Obserwuję ludzi idących gromadkami do kościoła. Dokoła pełno chat... idziemy polami, jakby środkiem wsi, która się ciągnie daleko w obie strony.

Buka upada. Wsadza rękę w śnieg. Wstaje. Podejrzliwy oficer każe psu wywęszyć, co on tam włożył do śniegu. Pies węszy, kręci się, znów węszy. Wreszcie odbiega. Buka dostaje kopniaka, ale cieszy się i tak, bo — jak mi się później zwierzył po cichu — wsadził tam w śnieg jakiś kompromitujący kogoś papierek.

Idziemy dalej — ciągle wzdłuż granicy. Przyłączył się do nas drugi oficer z psem, takim samym dużym wilczurem. Doszliśmy do jakiejś stodoły. Pod ścianą na kocach wygrzewa się kilku żołnierzy. Oficer coś do nich mówi. Wstają... biorą karabiny... idą z nami. I znowu jakiś żołnierz. O, cholera! Za dużo ich! Liczę Szwabów: dwóch oficerów, dziewięciu żołnierzy i dwa psy. Nie ma mowy o zwycięstwie, ale mamy okazję drożej się sprzedać. Jest do kogo strzelać.

Martwi mnie myśl, że lewą ręką nie będę się mógł posługiwać. Co za pech z tymi rękawiczkami. Szczęście, że mam zapasowy magazynek w tej samej kieszeni, co pistolet do prawej ręki. Zmienię szybko, jeśli jeszcze będę żył do tego czasu. Osiem naboi w każdym razie muszę wystrzelić.

A potem — „Rozdziobią nas kruki, wrony". Niemcy rozbiorą na pewno nasze trupy do naga. Nasze trupy. Mój trup! Straszne to jednak. Nigdy nie spodziewałem się, że tak dziwnie skończę życie. Przygotowany byłem na wszystko, na najgorsze — ale tak... jak dziś... właśnie tak ginąć...

No, — Bogu dzięki i za to, że zginiemy honorowo, z bronią w ręku. Matusia będzie rozpaczać — o Ewuni nawet myśleć nie mogę — ale dumne będą ze mnie obie na pewno.

Przypominam sobie nagle, że mam w kieszeni kartkę z wykazem pieniędzy. Ile dolarów w każdym z „gwoździ" — ile własnych pieniędzy — ile w pasie. Po jakiego licha ja to pisałem!

Przez głowę przelatuje mi głupia myśl, że tę kartkę trzeba zniszczyć, bo ją znajdą przy rewizji i rzuci ona na mnie podejrzenia. Idiotyczna myśl. Przecież najpierw znajdą broń. Myślę jednak tylko o kartce, cieszę

się, że jest w prawej kieszeni i mogę do niej dotrzeć zdrową ręką. Trzeba się jej tak pozbyć, jak to Buka zrobił. Raz — dwa — kartka w palcach. Teraz zmiąć ją,zgnieść i czekać na najbliższy rów! Jest... Buch... Wywróciłem się. Wstaję, kartka została w śniegu. Ulżyło mi. Czekam na rozkaz dla psa. Czekam na kopniaka. Skończyło się jednak na niczym.

Głupia myśl, głupi czyn — pożytek tylko ten, że odpędziłem trochę natrętne myśli.

Przywołuję się do porządku. Zaraz... policzmy: osiem karabinów, trzy pistolety, dwa psy. Psy pewnie uciekną przy strzałach, będą tylko potem groźne przy tropieniu. No więc, jeśli wystarczy czasu i naboi, do psów wygarniemy także.

Mamy ten atut, musimy mieć ten atut, że zaczniemy pierwsi strzelać. To może znaczyć dużo, byle tylko strzelać celnie. A potem — w nogi. Może się jednak uda uciec.

Po chwili przyłapuję się znowu na czymś dziwnym. Przecież ja zmawiam sam za siebie „Wieczne odpoczywanie". Ach, jakie to wszystko koszmarne!

Wchodzimy na jakąś dróżkę. Ubity śnieg skrzypi.

Cudny jest ten mój ostatni dzień życia. 28 grudnia 1941. Niedziela. Niebo bez chmurki. Mroźne, czyste, orzeźwiające powietrze. Lekki, suchy wiaterek. Jest już chyba po dziesiątej.

Z daleka widać ładny, duży dom. Z boku z jednej strony sad... obok stodoła... i nic więcej. Dokoła pola. Chaty są znacznie dalej — po prawej i po lewej stronie. Po prawej stronie jest „Generalne Gubernatorstwo", po lewej tereny przyłączone do Rzeszy.

Dochodzimy na wysokość stodoły. Droga idzie dalej prosto, my skręcamy na ukos wydeptaną w śniegu szeroką ścieżką w kierunku domu. Domyślam się, że to strażnica, że tu nas będą chcieli rewidować.

Jeden żołnierz idzie przodem—za nim Buka, ja, Maciej, Doktór i cała zgraja Niemców. Wchodzimy na schody... raz... dwa... trzy. Duża sień. Drzwi na lewo i drzwi na prawo. Żołnierz otwiera drzwi na lewo, wchodzi, my za nim, za nami żołnierze.

Tu jest nasza „sala koncertowa"...

d.c.n.

DOROTA FALSKA

„MĘDRZEC I JEGO CIEŃ"

I

Jedną z najboleśniejszych spraw w życiu politycznym wyzwolonej Europy jest problem ruchów oporu. W uwalnianych krajach z mroków podziemi wyszły na światło dzienne zastępy ludzi, którzy przez cztery czy pięć lat, żyjąc pod bezustannym terrorem, wyklęci przez prawo przyniesione na bagnetach okupanta, czasem niezrozumiani przez własne społeczeństwo, walczyli przeciw przemocy. Od pierwszych niemal dni po wyzwoleniu dochodziły nas zgrzyty mącące, a czasem zagłuszające radość odzyskanej wolności. Wszędzie, we wszystkich krajach dochodziło do bardziej lub mniej ostrych konfliktów między ruchami oporu a rządami powracającymi z emigracji. Wszędzie przejawiała się jakaś niechęć, a nawet wrogość, między "ludźmi z Londynu" a „ludźmi z kraju". Wszędzie podobne symptomy świadczyły o tym, że wyzwolenie spod okupacji samo przez się nie było w stanie przynieść rozwiązania najistotniejszych problemów trapiących Europę.

Na wschodzie Europy i na Bałkanach konflikty te przeradzają się w bardziej lub mniej krwawą wojnę domową. Tam, gdzie wątpliwej wartości parlamentaryzm służył tylko jako parawan dla dyktatury czy półdyktatury, tradycyjne metody zamachów stanu stosowane są przez nowych panów sytuacji. Role się zmieniły, bo zmienił się układ sił w społeczeństwie. Metody pozostały te same. Społeczeństwa zachodnie natomiast, wychowane w tradycji parlamentaryzmu, nadal widzą w parlamentaryzmie drogę do rozwiązania problemów socjalnych, a trybunę parlamentu, czy pseudo-parlamentu nadal uważają za teren walki o władzę. Nie znaczy to jednak, by rozdźwięki między rządami a Resistance były tu mniej głębokie, lub by ruchy oporu rezygnowały ostatecznie z nadziei na nową wiosnę ludów, której wyczekiwały przez lata walki podziemnej. Nuta rozczarowania i zniechęcenia szczególnie głośno może brzmi we Francji. „W czasach ucisku, wśród zgiełku prasy zaprzedanej, pisma tajne usiłowały mówić prawdę. Od czasu wyzwolenia prasa jest wolna, a mimo to prawda nie powróciła” — pisze tygodnik francuski „Noir et Blanc”. „La grande illusion” — coraz częściej nazywają Francuzi wyzwolenie. „L'echec de la Libération” — to inny zwrot charakterystyczny w ustach Resistance. Jak się to stało, że tego rodzaju gorzkie słowa dochodzą do nas z kraju, z którego oczekiwano wielkich, nowych, pozytywnych idei?

Ciekawym przyczynkiem do analizy obecnych nastrojów w szeregach Resistance jest wydana niedawno w Paryżu książka p.t. „Nous sommes les Rebelles” (Collection Défense de l'Homme). Autor tej książki, ukrywający się pod pseudonimem Indomitus był jednym z organizatorów ruchu oporu i redaktorem pism podziemnych. Kreśli on cele i hasła Resistance w pierwszej fazie wojny, źródła i przyczyny pierwszych rozdźwięków między krajem a władzami na emigracji w Londynie i w Algierze, a wreszcie konflikty i starcia między Resistance a rządem po uwolnieniu Francji. Jest to jak gdyby studium społeczeństwa francuskiego od wewnątrz, społeczeństwa, w którym — zdaniem autora — podziały społeczne i polityczne ustąpiły miejsca podziałowi na ludzi z Resistance i kolaboracjonistów, na tych, którzy poszli za de Gaulle'm i na tych, którzy byli zwolennikami Vichy. W miarę jak gęsta mgła okupacji zaczęła przejaśniać się, zadawano sobie pytanie, co przedstawiają sobą ci, których zależnie od koniunktury nazywano na przemian bohaterami, bojownikami o wolność, uzurpatorami, lub też wręcz bandytami, ci, których pośpiesznie uzbrajano, by potem jeszcze pośpieszniej rozbroić.

„Kim jesteście? pyta Naród ludzi Resistance — pisze Indomitus — Czy to wy po ulicach Walencji wlekliście matkę pięciorga dzieci, półnagą i z ogoloną głową, za to, że jeden z jej synów był milicjantem; czy to wy w ten sposób mściliście się na niej, ponieważ nie można było odnaleźć jej syna? Czy to wy aresztujecie niewinnych i rozstrzeliwujecie ich bez sądów? Czy to wy zamordowaliście przy drodze uczciwego człowieka za to tylko, że miał przy sobie starą legitymację Croix de Feu? Czy to wy z nietolerancji oskarżacie o zdradę wszystkich tych, co nie myślą podobnie jak wy? Czy to wy jesteście tymi nędznikami, którzy, teraz wśród wojny, gdy jedność Francji jest najwyższą koniecznością, atakują perfidnie ministrów i podkopują podstępnie autorytet powstającego państwa? Czy to wy chcecie wyborów pod terrorem? Czy to wy chcecie zmusić ludność francuską, by głosowała pod lufami karabinów maszynowych?”

By odpowiedzieć na te dręczące pytania, by zorientować się w układzie sił we Francji, trzeba sięgnąć okiem wstecz i zbadać grunt, z którego wyrosła Resistance.

Resistance od chwili powstania walczyć musiała na dwa fronty: przeciw Niemcom i przeciw „legalnemu” rządowi Vichy. Ogromna większość społeczeństwa francuskiego brała kamuflaże Pétainowskie za dobrą monetę. Zanim zrozumiano, że Pétain zwodzi Francuzów, wierzono, że zwodzi Niemców. Cała niemal administracja współpracowała z rządem

„legalnym" a tym samym z okupantem. Garstka ludzi, którzy tworzy Resistance przezwyciężać musiała opory psychiczne społeczeństwa, które uległo temu fałszowi legalizmu. Trzeba było przekonywać ludzi przywykłych do szanowania prawa, że łamanie prawa jest wyrazem najwyższego patriotyzmu i bohaterstwem. Naród, który poniósł klęskę wierzył, że Révolution Nationale będzie oczyszczeniem z grzechu słabości. Gotów był z biernością, niemal z pokorą odbywać pokutę narodową, nie ufając tym, którzy w tajnych pisemkach wołali, że odkupienie win Francji nastąpić może tylko przez walkę podziemną. W jednym ze swych artykułów, pisanych dla prasy tajnej, Indomitus przemawia do sumienia tych, którzy „boją się, że popełnią zdradę, przystępując do Resistance", tych, którzy wciąż jeszcze „uważają za swój obowiązek dotrzymywanie wierności fałszywym przysięgom". Do świadomych kolaboracjonistów kieruje groźby i ostrzeżenia. O dusze na wpół świadomych toczy cierpliwie nieustanną walkę. Lecz jak przemówić z podziemi do masy zmęczonych i zniechęconych obywateli? Było rzeczą oczywistą — organizatorzy Resistance rozumieli to od pierwszej chwili podjęcia akcji — że najpierw niezbędne są kadry do walki z okupantem. Kadry te jednak nie byłyby w stanie działać wśród społeczeństwa biernego, urabianego bezustannie przez propagandę Vichy, społeczeństwa, które niechętnie lub wrogo odnosiłoby się do „garstki zapaleńców". Nie można w kraju, okupowanym przez nieprzyjacielskie wojsko drukować, tajnych pism i dokumentów, zbierać broni, utrzymywać kontaktów, jeśli nie ma pewności, że „concierge nie wyda", że sąsiad czy sklepikarz nie zadenuncjują Gestapo lub milicji. Jakim argumentem trafić do concierge'a, sklepikarza, czy sąsiada? Chyba tym, że nagminne łamanie prawa i chaos administracyjny mogą uratować wielu Francuzów od relève. Unika się wielkich słów i ideałów, a operuje się argumentem czysto praktycznym: „Gdy we Francji będzie więcej fałszywych dowodów osobistych niż prawdziwych, gdy zapanuje nieprawdopodobny rozgardiasz administracyjny, wówczas tępy i metodyczny umysł niemiecki zostanie pokonany". „Trzeba, aby człowiek, mający swe papiery naprawdę w porządku, to znaczy, aby człowiek, którego łatwo można odnaleźć drogą administracyjną, rzeczywiście stał się curiosum we Francji". Słowa takie musiały niewątpliwie brzmieć niezrozumiale, jeśli nie odrażająco, dla praworządnego obywatela (oczywiście dopóty, dopóki miał on do stracenia coś więcej, niż tylko prawdziwą i niesfałszowaną „carte d'identité").

„Trzecia Republika zawiodła Francuzów, Rewolucja Narodowa wywołała w nich obrzydzenie". Lecz poczucie zawodu i obrzydzenia nie wystarczyły, by wyrwać społeczeństwo z odrętwienia. Zwłaszcza, że opór tak często wydawał się tak beznadziejny („La Résistance est si décevante"). Indomitus przyznaje, że ludzie z Resistance często ulegali nastrojowi goryczy, gdy Alianci nie dotrzymywali przyrzeczeń i nie dostarczali broni w dostatecznej ilości. Na narzekania te bojownicy z Resistance sami sobie odpowiadali z myślą o „pierworodnym grzechu" kapitulacji: „Nie trzeba było samemu zaczynać od porzucania broni".

Tymczasem każde zwycięstwo aliantów odbijało się stokrotnym echem w okupowanym kraju. „Stalingrad" stał się symbolem i niewyczerpanym źródłem energii. Można powiedzieć, że odtąd marszałkowie sowieccy werbowali ludzi do francuskiej Resistance.

* * *

Linia podziału na kolaboracjonistów i Resistance nie pokrywała się z linią podziału na stronnictwa i ugrupowania polityczne. Każde niemal stronnictwo miało w swych szeregach i kolaborację i Resistance. Jedynym stronnictwem, które — w każdym razie od roku 1941 — w całości, jako zdyscyplinowana masa polityczna weszła do ruchu podziemnego, byli komuniści. Odegrali oni w Resistance rolę ogromną, może decydującą.

Ponosili tak wielkie ofiary, że zyskali sobie wśród Francuzów zaszczytny tytuł: „le parti des fusillés". Niemcy prześladowali ich zresztą ze szczególną bezwzględnością. Chodziło im nie tylko o wytępienie swych najlepiej zorganizowanych przeciwników. Mieli na widoku i cel polityczny. Prześladowaniem komunistów starali się zdobyć poklask pewnych kół francuskich, które wciąż jeszcze widziały w Gestapo strażnika ładu społecznego i obrońcę przed czerwonym niebezpieczeństwem. Niejednemu łatwiej było przejść do porządku dziennego nad rozstrzelaniem grupy zakładników, gdy stwierdzono, że „przecież to *tylko* komuniści", tak jak gdzie indziej pewni ludzie mogli sobie myśleć „przecież to *tylko* żydzi". Takie wytłumaczenie usypiało sumienia. Z takim ludzkim czy też nieludzkim usypianiem sumienia walczyć musiała Resistance, która sprzymierzała się z niepokojem i buntem w sercach. Mimo wszystko ideologia armii podziemnej pozostawała wciąż jeszcze ideologią negacji. Zawiązywały się nici lojalności, koleżeństwa broni i przyjaźni w walce, w której o wiele wyraźniejsze było *przeciw* czemu się toczy, *niż o co*.

Zajęta walką o rzeczy najelementarniejsze Resistance nie potrafiła czy też nie zdążyła skrystalizować się politycznie. Nie pozwalała jej zresztą na to różnorodność tych elementów społecznych, które łączyły się w jej szeregach. Nie znaczy to jednak, by w szeregach Resistance nie panował dość określony nastrój ideowy. Ale był to właśnie tylko — nastrój. Ożywiał ją duch nie tyle rewolucji ile rewolty, ale jak się to często zdarza, te dwa pojęcia mieszały się z sobą, łączyły i zatracały swoją odrębność. Cechą Resistance było ostre poczucie bytowania w „gasnącym świecie" i potrzeba odnowy. Francja miała za sobą dwa „gasnące światy". Jednym była Trzecia Republika, o której myślano z rozczarowaniem i zawodem. Nie, do Trzeciej Republiki nie ma powrotu. Było widoczne, że Resistance nie mogła mieć zbytniego entuzjazmu dla wzorów mieszczańskiego parlamentaryzmu. Słabości i niedociągnięcia formalnej demokracji ujawniły się były w całej pełni i Resistance nie mogła głosić powrotu do niej. Z drugiej strony „gasnący świat" Vichy świadczył o tym, że autorytatywna prawicowa reakcja przeciw Trzeciej Republice zapędziła Francję w ślepy zaułek. Ponieważ w Vichy skupiały się przeważnie elementy prawicowe, Resistance sama siłą negacji stawała się — lewicową i przemawiała językiem radykalizmu społecznego. Był to jednak radykalizm, wynikający z okoliczności, z nastroju jak gdyby okolicznościowego, a nie że świadomego dążenia do określonych celów.

Z tych braków Resistance Indomitus zdaje sobie wyraźnie sprawę. Lecz wciąż jeszcze ma nadzieję, że Resistance z organizacji rewolty przerodzi się w organizację rewolucji. W pierwszym rzędzie nadzieję na to daje F.F.I. — armia podziemna, w której entuzjaści widzą zalążek przyszłej armii ludowej. To co autor nasz na ten temat pisze nie brzmi zresztą zbyt oryginalnie dla czytelnika polskiego, który z nieco ironicznym wzruszeniem odkryje w apostrofach Indomitusa pewne akcenty „sanacji moralnej". Spodziewał się on mianowicie, że odnowienie przyjdzie z kadrów tej ochotniczej organizacji wojskowej. Ludzie Resistance mieli przed swymi oczyma upokarzający widok „giętkich i pochylonych w ukłonie generałów, którzy...proponowali zmianę képi na niemiecki hełm". Dla tych generałów, mówili sobie, nie ma powrotu. Resistance zacznie budowę nowej armii od podstaw. Żołnierze F.F.I. mimo woli zaczęli myśleć o sobie jako o soli Francji, jako o nowej elicie. W wywodach Indomitusa ten motyw elitaryzmu powtarza się dość często, by zaniepokoić czytelnika, obeznanego z nim skądinąd. Jest to jednak wciąż jeszcze elitaryzm upośledzonych, prześladowanych a nie rządzących i uprzywilejowanych.

II.

Wyzwolenie przynieść miało ludziom z Resistance głębokie rozczarowania. Pewne przeczucie tego rozczarowania mieli oni jeszcze i przedtem. Wy-

nikało ono z ciągłych tarć i konfliktów między „ludźmi z kraju" a tymi „z Londynu". Dla tych ostatnich — pisze Indomitus — „czyny Resistance, trupy Resistance, bohaterstwo Resistance, wszystko to posiadało pewną wartość handlową. Można zużytkowywać wszystkie te poświęcenia, by stwarzać sobie sytuację osobistą, a potem, gdy bohaterowie ci staną się zbyt kłopotliwi, można być gotowym do zdeptania ich. Tak więc wielu ludzi w Algierze czy też w Londynie myślało o Resistance jako o podnóżku, który wcześniej czy później trzeba będzie gwałtem utrzymać w roli podnóżka". Dojrzewała ambicja kurateli nad Resistance. Z drugiej strony Resistance traktowała „tych w Londynu i Algieru" jako swoich dostawców wojennych, jako swoje zagraniczne plutony zaopatrywania. Wyznaczała im rolę bardzo skromną i ani na chwilę nie podejrzewała, że przybysze z Londynu czy z Algieru pokuszą się o ustanowienie nad nią swej kurateli. „La Résistance était révolutionnaire. Londres et Alger n'étaient que politiques".

Politycy z Londynu — twierdzi Indomitus — obawiali się dostarczać broni, gdyż obawiali się uzbrajania rewolucji. Organizacja wojskowa, zbudowana była w ten sposób, by jak najmocniej skrępować i ograniczyć inicjatywę i swobodę działania organizacji krajowych i by jak najściślej uzależnić ją od woli zagranicy. Wywody autora francuskiego na ten temat są pełne goryczy. Ukazują one w całej szarości kulisy wielkiego dramatu Resistance, kulisy, które do niedawna jeszcze pokrywał nieprzenikniony mrok.

Przeczucie przyszłego konfliktu dawała również propaganda radiowa, o której autor powiada, że wywoływała mdłości u ludzi z Resistance. Hołdy składane im „zbyt często podobne były do bukietów, rzucanych na tych, których się chciało pogrzebać". Autor mówi o tym wszystkim pełen niepohamowanego gniewu, nie szczędząc nikogo i niczego.

Ale oto przychodzą dnie wyzwolenia, a równocześnie niemal kryzys Resistance. Zarazem ujawniają się jej słabości i błędy. Główną słabością jest „la mentalité des revoltés". Pierwszą zaś klęską Resistance — powiada autor — był zalew jej szeregów przez nowe elementy, które przyłączyły się do niej w chwili zwycięstwa. Resistance straciła panowanie nad sobą. W wielkim rozgardiaszu wyzwolenia powstawały jak grzyby po deszczu Komitety Wyzwolenia Narodowego, które—tak przynajmniej twierdzi Indomitus — najczęściej składały się z „résistants de la première heure" czyli bojowników z ostatniej godziny. Gdy stare kadry Resistance broniły się przeciwko inwazji oportunistów i awanturników, sztab naczelny odpowiadał jakżeż znajomym argumentem: „Dajcie spokój, nie zaimponujemy naszym aliantom armią 50 czy 60 tysięczną". Poświęcono jakość dla ilości. Weterani Resistance, chłopi, którzy ukrywali oddziały partyzanckie, robotnicy, żandarmi, którzy z narażeniem życia utrzymywali łączność między oddziałami Resistance, lekarze czy mechanicy z garaży, ruszyli już na front lub też przygnębieni, wycofywali się ze wszystkiego. Brygady Resistance mnożyły się w sposób zadziwiający.

Innym błędem było to, że Resistance zdążyła się już zapatrzeć w przeszłość, że nie przestawała myśleć i czuć kategoriami okupacji i walki przeciwko Vichy, i że w momencie decydującym nie posiadała żadnego programu ani hasła politycznego. Jedni obawiali się poruszać sprawy polityczne, by nie oskarżono ich o łamanie jedności narodowej. Fetysz jedności paraliżował myśl i zamykał usta. Pewne ugrupowania — autor zdaje się ma tu na myśli komunistów — hodowały ten fetysz ponieważ spodziewały się, że „jedność" automatycznie odda im rząd dusz nad szeregami Resistance. W ten sposób „Front National, który stanowił wspaniałą ideę w okresie oporu, zamienił się teraz w maszynę wojenną dla paraliżowania życia politycznego". Pełni skruchy ludzie prawicy przybierali nagle gorliwie barwę ochronną lewicowości. A Front National, do którego przystępowali, stawał się „odkupicielem prawicy". Na dłuższą

metę nie można być Machiawelim i Joanną d'Arc jednocześnie — powiada Indomitus. W ten sposób Resistance już w pierwszych dniach wyzwolenia sama zdzierała z siebie, czy też pozwoliła zedrzeć z siebie aureolę ideowości, czystości zamierzeń i poświęcenia.

Indomitus zarzuca swym towarzyszom broni, że w pierwszych miesiącach czy tygodniach po uwolnieniu Francji starali się z organizacji swej utworzyć państwo w państwie, że Komitety Wyzwolenia i organizacje Resistance konkurowały z organami rządu w rządzeniu krajem. W tej konkurencji autor „Nous sommes les Rebelles" widzi jedną z głównych przyczyn, dla których Resistance traciła swe dobre imię i znalazła się w pewnym konflikcie ze społeczeństwem. Resistance — jego zdaniem — winna była zachować dla siebie rolę przewodnika duchowego i politycznego, a nie pretendować do stanowiska państwa w państwie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że autor obraca się tu w błędnym kole swych własnych argumentów. Jakżeż Resistance mogła objąć rząd dusz we Francji jeśli, jak widzieliśmy przedtem, nie miała wyraźnych idei pozytywnych? Z drugiej strony Resistance była w dniach wyzwolenia jedyną w kraju organizacją, która mogła tymczasowo podejmować się funkcji rządzenia. Administracja, która działała za czasów Vichy załamała się. „Ludzie z Londynu i Algieru" własnej administracji nie posiadali. Wytwarzała się pustka, którą prowizorycznie wypełniały Komitety Wyzwolenia, F.F.I., F.T.P., i niezliczone organizacje, które wyszły z ruchu podziemnego.

Niemniej ostro wypada krytyka rządu prowizorycznego. Wprawdzie rząd ten częściowo składa się z ludzi, którzy wyszli z szeregów ruchu podziemnego lecz o ludziach tych autor powiada, że nie reprezentują ducha Resistance. Sam rząd zaś przemawiał do społeczeństwa ponad głową Resistance, starając się jak gdyby odseparować się od swych najwierniejszych zwolenników. „Wszystko to wyglądało tak jak gdyby rząd de Gaulle'a starał się zaspokoić Resistance, a raczej uśpić ją, wciągając do swej pracy ludzi niewątpliwie posiadających etykietki Resistance, lecz którzy bez trudności godzili się na politykę dość podejrzanie zwróconą przeciw organizacjom ruchu podziemnego". Autor uwydatnia swą myśl przypominając pewien epizod z kariery Marszałka Cziang-Kai-Szeka. Po zdobyciu władzy przy pomocy uzbrojonych grup partyzanckich, Cziang-Kai-Szek zaaresztował przewódców tych grup i oparł się na bankach oraz starych grupach urzędniczych i politycznych. Pan Wu, wielki bankier chiński, tłumaczył swemu synowi, młodemu rewolucjoniście, którego wydobył z więzienia: „Rzeczywiście, mój synu. Ten twój Cziang-Kai-Szek jest naprawdę człowiekiem wielkim i inteligentnym". Iluż ludzi prawicy wypowiada dziś we Francji podobne sentencje. Autor jednak nie kieruje ostrza swej krytyki przeciwko gen. de Gaulle. Wini jego otoczenie, doradców i świty przyboczne. „De Gaulle — powiada — zawsze w sercach naszych pozostanie naszym de Gaullem".

Indomitus przyznaje, że Resistance była w pewnej mierze narzędziem w ręku partii komunistycznej. Lecz mimo to uważa, że rząd popełnił błąd, gdy przecinał więzy, które łączyły go z Resistance. Błąd tym dziwniejszy, że — jak twierdzi — gen. de Gaulle od początku nie obawiał się komunizmu. Autor natomiast oskarża „waletów" gen. de Gaulle'a ("Tych, którzy z wielką elokwencją naśladują głos swojego pana"), że to oni starali się nadać polityce rządu kierunek antykomunistyczny i z tego względu zwrócili się przeciw Resistance. Autor równie ostro krytykuje rząd prowizoryczny za zaniechanie „czystki", powiadając, że „nie trzeba było by we Francji wiele głów się potoczyło; głowy te należało po prostu dobrze wybrać". Tego nie uczyniono. Ponieważ jednak nienawiść do kolaboracjonistów jest silna, ponieważ potrzeba „czystki" jest rzeczywista, nie obyło się bez pewnego rodzaju ersatz czystki, w której ucierpiało wiele ludzi niewinnych. Na tym tle również dochodzi do konfliktu między społeczeństwem a Resistance. „Społeczeństwo się oburza i uważa, że

jesteśmy zbyt splamieni krwią. Społeczeństwo widzi potworne niesprawiedliwości. Resistance natomiast widzi tylko zbrodnie nieukarane. Społeczeństwo powiada ,Czystka trwa już za długo', ludzie Resistance, widząc, że ,czystka nie została dokonana, domagają się większej surowości w wymiarze sprawiedliwości. Społeczeństwo wysnuwa z tego wniosek, że chcemy panowania terroru we Francji, podczas gdy my po prostu domagamy się, by sprawiedliwości stało się zadość, ponieważ zawsze przecież pragnęliśmy sprawiedliwości". O wytworzenie tego nieporozumienia między spłeczeństwem a Resistance autor wini ministra sprawiedliwości, nazywając go „grabarzem gaullizmu".

* * *

„Nous sommes les rebelles" stanowi dokument czasu, choć nie wszystkie zarzuty i rozumowania autora są dobrze uzasadnione. Jest to jednak niewątpliwie autentyczny krzyk serca Resistance, wyraz jej rozczarowań i zawodów. Trudno powiedzieć w jakim kierunku zmierza autor a wraz z nim ci, w imieniu których przemawia. Ten krzyk serca odznacza się wszystkimi dodatnimi i ujemnymi cechami, które — według wyznania autora — charakteryzowały samą Resistance. Wiadomo mianowicie przeciw czemu walczą „les rebelles", natomiast niezbyt dokładnie wiadomo o co.

Walczą zaś z pewnością przeciwko odejściu w nicość. Nie chcą się pogodzić z kresem swojej roli i nie chcą uznać, że ci którzy sprawują rządy przemawiają w ich imieniu. Książkę swoją autor zaopatrzył następującym, charakterystycznym post scriptum, noszącym datę: Grudzień 1944.

„Przypominacie sobie być może bajkę Andersena pod tytułem „Cień". Bajkopisarz duński opowiada dzieje mędrca, który udał się do krajów gorących, by zbadać ich klimat i geografię. Gdy znalazł się na równiku, mędrzec zgubił swój cień, długi i chudy, który zwykł był kłaść się na mury. Od tego dnia nie ujrzał już tego cienia. Dopiero później jakiś inny cień zaczął kroczyć za nim. Kilka lat później mędrzec wrócił do swojego kraju. Pewnego dnia, gdy zajęty był pracą, ktoś zapukał do jego drzwi. ,Nie poznajesz mnie?' — spytał przybysz. ,Jestem twoim cieniem'.

Cień często odwiedzał swego pana i stopniowo zaczął wykorzystywać mędrca. Dzięki znajomości z nim szybko dostał się do dobrego towarzystwa i zdołał nawet zaręczyć się z księżniczką. Księżniczka zażądała wówczas od mędrca, by stał się jej cieniem podczas nocy weselnej. Nazajutrz zabito mędrca, jako że cień ten był zbyt kłopotliwy".

Les rebelles nie chcą odgrywać roli owego mędrca.

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

PIKNIK NAD NIEMCAMI

Właśnie wylądowałem z popołudniowego oblotu maszyny i dźwigałem spadochron do spadochroniarni, gdy major Łagowski szepnął mi w przejściu tajemniczo:

— Pst... Most secret! Dziś w nocy lotów nie ma. Za to jutro dywizjon leci na dzienną operację!...

Jestem już starawym lotnikiem, jako że mam trzydzieści operacji za sobą, ale dotychczas latałem tylko w nocy. Toteż wiadomość o pierwszym dziennym operacyjnym locie była ekscytująca.

I niepokojąca również. Dobry złodziej kocha czarną noc. Lotnik też. Jak to miło zrzuciwszy bomby na śpiące niemieckie miasto móc zniknąć w ciemnościach nocy przed pogonią niemieckich flaków i my-

śliwców. Tak pokochałem czarne chmurne noce, że nawet do księżyca straciłem dawną sympatię. Na urlopie w górach Szkocji jeszcze znosiłem jego widok. Ale stanowczo wolałem nów, gdy wracałem do dywizjonu. A cóż dopiero w biały dzień znaleźć się nad Niemcami? Tak będę się tam czuć, jak gdybym nago chodził po Piccadilly!

Wojna w lotnictwie nie jest najgorszą: rano dobry Simon przyniósł mi kawę i bułkę z masłem do łóżka (na niego właśnie wypadła kolejka pojechać z termosem do kasyna), potem wziąłem gorący prysznic (Niemcy wybudowali na lotniskach Francji doskonałe łazienki), ogoliłem się nowiutką amerykańską żyletką (nieźle jest mieć matkę wojenną w Nowym Jorku), i byłem gotów do wojny. Tradycyjna odprawa załóg. „Inteligent" z sumiastym wąsem, popularnie zwany „Tatą flakiem" oznajmia z dumą:

— Panowie weźmiecie udział w największym nalocie w historii świata. Około 7 tysięcy maszyn wystartuje dziś nad Niemcy.

Potem „Zielonek" (nasz łącznikowy z armii) informuje nas ile jardów postąpili naprzód Anglicy i Amerykanie, a ile mil — Rosjanie. Potem „Doktór chmurka" coś opowiadał o pogodzie. Potem szły normalnie nudne przypomnienia przepisów sygnalizacji, startu, taksowania, „emergency homingów". Aż zelektryzowały mnie dopiero słowa dowódcy dywizjonu:

— W wypadku ciężkiego uszkodzenia samolotu nad celem, należy lądować w Szwecji. Oto trzy najbardziej dogodne lotniska...

Co za cudowna perspektywa: na obiedzie znaleźć się w Szwecji! Nigdy nie byłem w tym kraju, ale już oczarowała mnie perspektywa: po tym beznadziejnym lotnisku francuskim, gdzie tylko się je, śpi i lata, nagle zobaczyć nowy, nieznany jeszcze kraj. Ujrzeć Sztokholm, tę Wenecję Północy. Jakżeż będzie zabawnie spotkać Norberta Żabę, odwiedzić pana Sokolnickiego, i po parotygodniowym cyklu śniadań w stolicy Szwecji wrócić na brytyjskie wysepki. Wsród stosu setki rożnokolorowych map odnajduję mapę Szwecji i kreślę na niej z radością ewentualne traki: trzeba będzie ominąć Kilonię, potem przelecimy Bałtyk gdzieś koło zatoki Meklemburskiej, potem wyspy Danii. Po lewej stronie zostawimy Kopenhagę — zabawnie będzie zobaczyć kopenhaską zatokę; właśnie ostatnio czytałem opis bitwy stoczonej tam przez Nelsona — przelecimy ponad cieśniną Sundu i szlakiem Czarnieckiego znajdziemy się w krainie Karola Gustawa. Nie, nic nie miałbym przeciw temu, aby nam tak jeden z motorów nawalił!

Wszystko gotowe do lotu — za pół godziny start. Na dworze słońce świeci radośnie, choć luty, ale prawdziwa europejska wiosna. Pakuję do torby z mapami przybory toaletowe: w Szwecji na pewno nie ma mydła. Napełniam termos herbatą — też się przyda. Zostawiam Adamowi pieniądze, które wczoraj pożyczyłem od „Zielonki", gdy w mieście zabrakło mi gotówki. Niech się chłopiec nie niepokoi, gdy wyląduję w Szwecji. Mam w walizce parę perfum: po co ma je sprzątnąć komisja spadkowa w Blackpool? Lepiej niech Simon pośle jedną Susan, drugą Sally. Simon przypomina, aby w razie czego jego pamiętnik odesłać Billowi. Sprawy ziemskie załatwione. Wzbijamy się w niebiosa.

Osiemnaście maszyn dywizjonu już pruje błękitne niebo. Mosquity lśnią w zimnym wiosennym słońcu. Oddziałek nasz liczy razem trzydziestu sześciu ludzi, mniej aniżeli miał ich pluton piechoty we wrześniu 1939. Ale uzbrojenie nasze jest potężne: sto czterdzieści cztery działa i karabiny maszynowe. Siłą ognia dysponujemy wieksza, aniżeli brygada kawalerii naszej we wrześniu. No i możemy poruszać się nad Niemcami z szybkością sześciuset kilometrów na godzinę.

Lubiałem zawsze spacery: bryczką do lasu, konno przez pola, pieszo przez góry. Teraz zaczynamy nasz spacer po Europie Zachodniej. Tak, to nie będzie wycieczka, ale dosłownie spacer — trwać będzie przecież tylko trzy godziny. Tyle czasu ile zabierało w Ponikwie obejść dookoła

jezioro. Tam z gór nad jeziorem widać było Pieniaki, klasztor w Podkamieniu, sanguszkowskie Podhorce, w pogodne dni nawet odległy o kilkanaście kilometrów zamek w Olesku. Teraz w prawo od nas migocą w słońcu dachy Brukseli, po chwili przelatujemy nad granatowym pasemkiem Skaldy i już mijamy Antwerpię. To miasto w prawo to Louvain, znam je z opowiadań, przecież tam studiował rolnictwo Aleksander Bocheński. Po kilkunastu minutach już pędzimy nad folwarkiem innego dziedzica a raczej dziedziczki — Wilhelminy — tu już jest holenderska ziemia. Tam w lewo we mgle ukrywa się miasto Breda, które w jesieni zdobyła a teraz tam spoczywa na zimowych leżach nasza dywizja pancerna. I już w słońcu błyszczą przed nami dwie wielkie rzeki: pierwsza to będzie Moza, druga Ren. Niemcy rozwalili tamy, Ren wylał szeroko, powstały wielkie jeziora, których nie ma na mapie. Niemcy chcieli oddzielić się wodą od aliantów: dla Mosquita woda ta nie będzie przeszkodą. Mgnienie oka — i już przelecieliśmy linię frontu. Pod nami teraz już są Niemcy.

Z ciekawością spoglądam w prawo — tam dwie mile od nas czerwieni się kupami rozwalonej cegły miasto Arnhem, pamiętne ze spadochronowego ataku, w którym wsławiła się i polska spadochronowa brygada. Wieleż razy przelatywałem tędy w nocy, jeszcze w jesieni, w czasie pierwszych mych operacyjnych lotów, tylko że wtedy wśród ciemności nie mogłem dojrzeć niczego prócz pożarów. Teraz ta ziemia i to miasto straciło swą tajemniczość. Zalane pola, porozwalane miasteczka są po prostu puste, smutne, ponure. W lewo został już Utrecht, Amsterdam i Doorn, tak, ten sam Doorn, gdzie Wilhelm drzewa rąbał. A teraz nowy widok jak z bajki: kończy się szara ziemia a na horyzoncie lśni się we wiosennym słońcu wielkie granatowe morze. Zuider Zee. To też stary znajomy, nawet wiecej, przyjaciel. Niejedną noc księżycową nad nim spędziłem. Nie z dziewczyną, ale z bombami. Gdy w jesieni latalismy nocami z Anglii nad Ruhrą, gdy ziemia pod samolotem wydawała mi się wszędzie równie czarna, gdy szukałem swej drogi po tej części Europy, poczciwy brzeg Zuider Zee mówił mi dopiero gdzie jestem. Jak kochanek zna na pamięć kształty ukochanej kobiety, tak ja tu znam na pamięć, bez oglądania mapy, każdy półwysep, każdą zatoczkę. Teraz lecimy brzegiem jeziora. W prawo widać miasto Zwolle: też pamiętne, tam w październikową noc otrzymaliśmy pierwsze flaki. Zaraz potem mijamy miasto Meppel. Znam, pamiętam, tam też ogniste kiełbaski fruwały wokół Mosquita. Są rozmaite podejścia do geografii. Smakosze cenią kraje podług potraw, pijacy podług gatunków win i wódek. Polacy według jakości więzień. Lotnik ocenia miasto podług ilości balonów i jakości jego artylerii przeciwlotniczej.

Endel mówi, że strzelają do nas. Nie chce mi się wierzyć. Świat wydaje się tak piękny, doskonały: słońce, wiosna, widok szybko mijanych wód i lądów tak upaja. Gdzie, kto, skąd strzela? Pewnie mu się przywidziało. Jakżeż miły jest ten lot dzienny, bo ileż przyjemniejszy od operacji nocnej. Przede wszystkim nie potrzebuję pracować. Siedzę na wygodnym fotelu, nogi wyciągnąłem wysoko, oparłem na driftrecorderze. Mam na sobie futerko baranie. Południowe słońce grzeje poprzez pancerne szyby coraz goręcej, mam wrażenie ,że w dzień letni leżakuję na gorącej plaży. Tak powinna wyglądać w dwudziestym wieku wojna. W nocy jest zupełnie inaczej. Nasz Mosquito patroluje wtedy sam, jestem odpowiedzialny za nawigację, za doprowadzenie samolotu nad cel, i z powrotem do bazy, toteż zwijam się jak w ukropie, zaglądam do tajemniczej maszynki, chwytam fale radiowe, wyliczam fiksy, przenoszę na mapę. Teraz lecimy w formacji, za nawigację odpowiada sam oficer nawigacyjny dyonu, który leci w pierwszej maszynie z dowódcą. Stary nawigator — nie zabłądzi. Do tajemniczej skrzynki, w której radiowe duchy wskazują drogę, nie potrzebuję nawet zaglądać.

No ale niemieckie myśliwce ? Messerschmitty? Focke-Wulfy? Słynne jety? Trzeba oderwać wzrok na chwilę od oblanych słońcem mórz i lądów

i porozglądać się po niebie. Lewa strona jest bezpieczna — płyną tam niebem cztery samoloty naszej pierwszej szóstki. Pierwsze trzy lecą załogi majorów: Grodzickiego (dowódca Dyonu), Referowskiego i Łagowskiego. W czwartej maszynie jest załoga libijska, podporucznicy Wiśniewski i Lubomirski, pierwszy były artylerzysta, drugi były ułan z dawnej Karpackiej Brygady. W prawo od nas pilotuje szóstego Mosquito sierżant Haas, też libijczyk. Pod nami pędzi druga szóstka, którą prowadzi squadron-leader Hanbury. Pół mili z tyłu, z prawej strony prowadzi trzecią szóstkę Simon Sitwell. Mój współlokator w poniemieckich koszarach. Literat. Nie tylko Anglik, ale i Europejczyk. Doświadczony lotnik: to jest jego dziewięćdziesiąty piąty lot bojowy. Ten najlepiej ubezpieczy mą prawą flankę. Jeszcze nikt z nas nie wie, że to jest ostatnia jego operacja w tej wojnie.

Już jesteśmy nad Rzeszą. Ta szeroka rzeka przed nami to Wezera. W lewo jej ujście do morza, w prawo leży nad jej brzegami dumne miasto Hansy — Brema. Pod nami wzdłuż zbliżającej się szybko Wezery biegną linie kolejowe, szosy, migocą jakieś wielkie zbiorniki i — tu zapowiedziano nam flaki. Więc dodajemy gazu, skręcamy z kursu, pikujemy — to wszystko by utrudnić biednym Bertom tam w dole namiary artylerii. Jak wiadomo z rozkazu Hitlera służbę przy obronie przeciwlotniczej Rzeszy objęły niedawno kobiety. Mamy z tego powodu nawet wyrzuty sumienia; czy to wypada, czy to jest po dżentelmeńsku, zgodnie z kodeksem Boziewicza — ruszać z działkami i karabinami maszynowymi na dziwki? — jakby realistycznie rzecz ujął Karol Zbyszewski.

Tak, już jesteśmy w rejonie wyznaczonego nam celu: gdzieś w środku między Bremą, Hamburgiem i Kilonią. Dywizjon ma za zadanie: tu rozdzielić się na dwójki i przez pół godziny atakować i niszczyć komunikacje i obiekty wojskowe na ziemi. Jak psy gończe spuszczone ze smyczy osiemnaście Mosquitów rozbiega się po niebie. I już jak dobre psy gończe tropią, już pikują do ziemi, tam coś znajdą. Nie minęła minuta a już dobre psy dojrzały zwierzynę: tam na małej stacyjce ukrył się pociąg. Taki, jakiego chce „inteligent" na przesłuchaniu: lokomotywa pod parą, za nią ze czterdzieści wagonów. Już któryś z naszych Mosquitów pikuje nań siejąc ogniem z dział i karabinów maszynowych. Nie namyślając się długo już i my robimy rundę i skręcamy do piki, by spuścić nań dla urozmaicenia bombkę. Bomba nasza już leci, ale co tam dostrzegam w dole? Pociski świetlne walą w pociąg. I błyskawicznie przychodzi refleksja: my nie strzelamy, skądże więc te pociski? I już dostrzegam odpowiedź: w dole pod nami, z przeciwnego kierunku jakiś Mosquito tuż nad ziemią— nalatuje na pociąg i on to siecze weń ogniem. A nasza bombka już poszła. I już słyszymy w interkomie przekleństwa „Co za taki syn rzucił na nas bombę?" Dobrze że wyszedł cało, siła wybuchu mogła rozerwać samolot. Za wielki ścisk przy pociągu, lepiej się przenieść nieco dalej. Już pędzimy nad szosą, pełno na niej jakichś samochodów, już lufy dział naszego Mosquita kierują się na nie. Obok polem chłop pędzi krowę, nie zwraca na nas uwagi, pewnie głuchy. Potem przelatujemy nad ulicami miasteczka, żywego ducha tam nie widać. I znów pędzimy nad szosą, na wysokości drzew, mam wrażenie, że siedzę w samochodzie, który z rozpędu unosi się do góry. Potem wlatujemy nad jakiś obóz, widać jak ludzie w stalowych mundurach po dziedzińcu biegną, jak pociski świetlne naszych działek walą w ściany baraków, w okna. Potem znów pod nami stacja, wagony, ludzie rozbiegają się na wszystkie strony. Wygląda to na niewinną zabawę w gonionego na dworze, w jasny słoneczny dzień. Ten dom co się pod naszą bombką zawalił robi wrażenie domku z kart co się przewrócił za dmuchnięciem. Tylko że znad tego przewróconego domku na stacji unosi się na kilkadziesiąt metrów w górę chmura czerwonego, ceglastego kurzu. Nawet mi przez głowę nie przechodzi, że od tego naciskania palcem guzika mogą na ziemi pod nami umierać ludzie. Te

zielone pola, szosy, drzewa, miasteczka wyglądają tak błogo. Wszystko to miga się pode mną tak szybko, jakbym w jakimś szalonym galopie pędził za lisem. Ani mi przez myśl nie przyjdzie, że mógłbym spaść z tego konia. W początkach szkolenia, na strzelnicy w Anglii bałem się bardzo tych ataków z piki, kiedy maszyna w tempie setek metrów na sekundę pędzi w stronę ziemi, i już wydaje się, że się o nią roztrzaska. Teraz już się przyzwyczaiłem. Ani mi też przez głowę nie przejdzie, aby z dołu ktoś do nas mógł strzelić. Te pola i wioski pogrążone w południowej drzemce tchną takim spokojem. Nie, ten dzienny nalot nie ma w sobie nic z patosu pola bitwy. Nie słychać świstu kul, huku pocisków. Nie unosi się nad nim śmierć. Ten dzienny nalot na te miasteczka i drogi niemieckie ma w sobie raczej coś z dokazywania ulicznika, co z procy strzela do okna naprzeciwko, oblewa przechodni wodą w poniedziałek wielkanocny, w wielką sobotę strzela petardy na ulicy. Można by tak hasać dłużej ale czas patrolu minął, należy wracać do domu.

Haas już się dawno zgubił, teraz nawoływania nasze przez interkom pozostają bez skutku. Wzbijamy się w górę, ale nie możemy dojrzeć go na niebie. Może mu się coś stało, może odleciał do Szwecji? Czekamy jedną minutę, drugą, trzecią, zataczamy jeszcze koło jedno i drugie — nie ma nikogo, niebo puste. Reszta naszych maszyn też zapewne odleciała. I my bierzemy kurs na Zachód, na Holandię. Teraz już nie leci przed nami samolot z oficerem nawigacyjnym. Muszę sam pilnować nawigacji, by nie zbłądzić. Trzeba się też bez ustanku rozglądać po tym niemieckim niebie. Nasz Mosquito leci teraz sam jak palec. Żeby tak kilka Focke-Wulfów znienacka nie wyskoczyło. W gronie osiemnastu Mosquitów raźniej się leciało. Teraz niepokój wsącza się do samolotu.

Lecimy na Zachód, słońce świeci, gapię się na mozaikę ziemi pode mną, potem na mapę na kolanach, oglądam się za siebie, potem znów zerknę na zegary i tak w kółko, minuta za minutą wlecze się w nieskończoność. Znów oglądam się na niebo za sobą i nagle, co widzę? Zły sen, mara? Trzy jednosilnikowe, myśliwskie maszyny nalatują nam na ogon. Czuję się już jednym skrzydłem na tamtym świecie i wołam w interkom: „Na ogonie myśliwce!" Endel obraca się jak wicher ale w następnym mgnieniu oka już rozpoznał: Mustangi. A trzy Mustangi już są na naszej wysokości, już przyjaźnie merdają do nas skrzydłami. Choć my i oni pędzimy szybciej od huraganu, odnosi się wrażenie, że maszyny nasze zawisły obok siebie nieruchomo w powietrzu. Amerykańskie gęby śmieją się do nas.

Lecimy teraz w gronie Mustangów i bardzo mnie ich widok podnosi na duchu. W ich towarzystwie możemy się spotkać z całą Luftwaffe. To jacyś rozgarnięci chłopcy — wiedzieli jaką drogą wracać z Berlina. Każdy z nich zasłużył sobie u mnie na dobrego drinka. To mi przypomina że jestem spragniony i że mam w torbie termos pełen herbaty. Wyjmuję termos, popijamy herbatę, słońce radośnie świeci, prawdziwy wiosenny piknik. Piknik w biały dzień nad Niemcami. Świat wydaje mi się znów radosny. Pomachałem termosem w kierunku amerykańskiego pilota. To wystarczy, aby go uradować. To dobrze. Trzeba koniecznie zainteresować Mustangi naszym Mosquitem. Bo inaczej się znudzą, dodadzą gazu, i zostawią nas samych na niemieckim niebie.

Dolecieliśmy nad Holandię, tu bierzemy kurs na południe, Mustangi pofrunęły na Zachód. Ale coraz to już widać na niebie gromadki Bostonów, Spitfire'ów, Fortec, płynących też na Zachód. Pół godziny potem lądujemy na naszym lotnisku. Nasz Mosquito lądując dziwnie się zachowuje: skręca raptownie z runway'u w trawę. Hamulec nawalił. Wyskakujemy z kabiny. W ogonie znajdujemy dziurę — pocisk karabinu maszynowego ją przestrzelił. Mechanicy potem znajdą jeszcze drugi pocisk, który uszkodził hamulec, zatrzymał się dopiero na motorze. Simon znajduje pięć dziur w swej maszynie. Haasowi przestrzelili z działka skrzydło, wracał na jednym motorze. Na osiemnaście maszyn dyonu,

dziesięć wróciło postrzelanych, w tym trzy na jednym motorze. Jedna załoga nie wróciła. Angielski chorąży Smith lądował przymusowo w Niemczech.

Simona czeka najlepsza wiadomość. Władze Rafu uznały, że 95 operacji to wystarczy, i więcej nie będzie latać operacyjnie. Wojna się dla niego skończyła. Do Burmy nie pojedzie. Jego maszyna „S", for sugar ma mniej szczęścia. Z pierwszego lotu z nową załogą nie powróci.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

KLUCZ ZIEMI

Wszystkie zdarzenia, jakich jesteśmy świadkami małe czy duże mają dwojakie oblicze: jedno materialne, dostępne zmysłom, drugie symboliczne, wyrażające jakieś sprawy po stokroć ważniejsze, odległe, okryte mrokiem, lecz właśnie jedynie istotne w swym znaczeniu dla losów ludzi czy ludów, bowiem w nich leży rozwiązanie zagadek tej logiki, która rządzi światem. Dlatego nieraz zastanawiałem się nad tym dlaczego tragiczna śmierć dosięgła Władysława Sikorskiego właśnie w Gibraltarze, a nie gdzie indziej? Dlaczego właśnie tam, gdzie wszystkie linie komunikacyjne świata przecinają się i łączą, w małej zatoce, pod olbrzymią iglicą skalną, w miejscu, które stanowi klucz do władztwa Atlantyku, wrota do Mediterraneum, Indii, Mórz Południowych? Gdzie łączą się najstarsze kontynenty Europy i Afryki przedzielone tylko szafirowym pasemkiem wody, gdzie bije serce Wielkiej Brytanii, bez którego potężne Imperium musi umrzeć i przepaść w niepamięci. Gibraltar — to świat morski, dziś zaś to świat morski i powietrzny zarazem.

Dlaczego właśnie w tym miejscu stanął pierwszy pomnik człowieka, który zginął „dla wspólnej sprawy wszystkich narodów walczących o swą wolność", jak głosi napis na pamiątkowej tablicy?

Takie mniej więcej myśli nurtowały głowę, gdym siedział otulony kocami, w kadłubie „Dakoty" lecącej z Anglii na południe. Przez małe okieneczko po mojej prawej stronie spoglądam na kanał w słońcu. Śnieżyca ustała, chmury wysoko. Przez szczeliny chmur wpadało rude słońce i zapalało na ciemnym morzu ogniste plamy. Na szerokich falach wybuchło równocześnie kilkadziesiąt wulkanów i przelewało gotującą lawę. Nagle zjawisko znikło, morze przybrało kolor ołowiu i pojawiły się szare kontury lądu. Zobaczyłem jakąś plażę, przy niej cały łańcuch zatopionych okrętów, potem ukazała się kotlina, istny księżycowy krajobraz porytej pociskami przestrzeni, dalej miejscowość z ułamaną wieżą kościelną i rozwalonymi domami. Lecz już niebawem wszystko zasnuła szara mgiełka, pod którą, jak pod welonem zakonnicy, rysowały się jakieś nieokreślone kontury. „Dakota" zaczyna się wznosić i wpada w kłęby nieprzejrzystej lepkiej mgły. Mgła pryska, oślepia jaskrawe słońce, jesteśmy nad chmurami, matkami śniegu, od których odbijają się mocno promienie, podobnie jak od białej ponowy na ziemi. Chmury zasklepiają się pod nami od horyzontu do horyzontu. Są wełniste, skotłowane, nieruchome, jakby zamrożone wysokością, tworzą swoisty krajobraz znany tylko lotnikom. Są całkiem odmienne, jak te widziane przez ludzi z dołu. Chmury dopiero po paru godzinach urwały się nagle, jakby ucięte nożem. Wlecieliśmy w szeroką dolinę między dwoma pasmami wysokich gór, zalodzonych i ognistych od zachodzącego słońca. Pojawiają się małe miasteczka, bardzo skupione, o wąskich uliczkach i zdecydowanych konturach. Robią wrażenie obronnych zamków. W środku każdego miasteczka wystrzela wieża czworokąta, o płaskim dachu (tak się przynajmniej wydaje), zupełnie

średniowieczna wieża strażnicza (a może i naprawdę była nią kiedyś). W koło miasteczek przebiegają w pięknych krzywiznach geometrycznych czarne nicie torów kolejowych, krzyżują się z szarymi splątanymi wstążkami gościńców i dróg. Wszystko to rozbiega się, jak sieć pajęcza ku brzegowi horyzontu, ku górom pnąc się i wijąc. Wreszcie pojawiają się na południowym i zachodnim skraju doliny stalowe cienie pasem wodnych — to morze, Morze Śródziemne. Pada rozkaz: przywiązać się do lądowania. Jeszcze przez chwilę gnamy wzdłuż bagien i rozlewisk nadbrzeżnych, by zatoczyć wiraże nad czymś, co kiedyś było rozbudowanym lotniskiem. Teraz otaczają je leje i gruzy rozgniecionych pociskami, kamiennych hangarów. Na jednej kupie kamieni widzę zatknięty sztandar trójkolorowy — — to Francja. Nie spodziewałem się lądować we Francji. Chrobot kół, lądowanie. Na rozwalonej ścianie przed nami wielki napis „Rauchen Verboten" i pod spodem „Défense de Fumer". — Dalej resztki wieży portowej.

Mamy tu zostać na noc. W kwaterach przydzielonych zimno i mróz, w tak zwanym kasynie upał od piecyka żelaznego i dym papierosów tak gęsty, że ściska w gardle. Próbujemy wyjść na spacer. Wchodzimy do miasteczka, po drodze mija nas bohater „resistance". Ma na plecach dubeltówkę, pas z nabojami na poprzek piersi. Pedałuje na rowerze. Za siedzeniem w koszyku przerażona kura. Miasteczko bardzo stare, katedra z jakiegoś dwunastego wieku, główny skwer obramiony kikutami drzew, kilkanaście „kafejek" i trochę ludzi o bladych zmęczonych twarzach, rzucających krótkie, kose, przestraszone spojrzenia, pozostałości okupacji. Zimno przeraźliwe...

Wracamy znowu na lotnisko, do kasyna. Istna wieża Babel. Załogi z czterech stron świata, naturalnie nie brak i Polaków. Gdy otwarto przepisowy bar o przepisowej szóstej, barman przyjmuje bez zmrużenia powiek wszystkie pieniądze wszystkich krajów, wymienia je na alkohol, gromadzi w jakieś szaro-zielono-pomarańczowe kupy, które odnosi co chwila za bufet. Pijemy wino, jemy kolację, idziemy spać.

DZIEŃ NASTĘPNY

Ciemno i śnieżyca. Dwa olbrzymie reflektory ciężarówki wchłaniają cienie ludzkie. W głębi budy ciała wpadają na ciała, depczą po nogach, przyciskane do najeżonych gwoździami, śrubami i hakami ścian. Szef naszej ekipy, admirał, jęknął w moim kierunku: „Zapalże pan zapałkę, żeby ten Anglik zobaczył, że siedzi na mnie"... Zaświeciłem. Tęgi G/Cpt ujrzał paski admiralskie i przesunął się na inne kolana z przekonywującym „sorry". Na lotnisku była śnieżyca i wicher wył po kątach ciemnej kantyny, gdzie siorpaliśmy herbatę czekając na start.

Śnieżyca po dwóch godzinach ustała. Niebawem znaleźliśmy się w powietrzu, by porzucić chmurny kontynent i lecieć w słońcu pod błękitnym niebem wzdłuż skalistych wybrzeży Hiszpanii. Niebo, woda, żółte poszarpane skały brzegu — oto cały widok. Potem cień Balearów po lewej ręce. Wreszcie wielkie góry zaczęły zamykać horyzont — Afryka, pod nami zaś rozścieliła się zatoka, nad zatoką — skała, sławna „Rock", wrota do mórz, klucz ziemi, Gibraltar — Europa. —

Skała wyrasta nad nami aż do nieba. Przygniata swym ogromem. Morze pod nią jest błękitne i ciche. Na lewo szczyty skośnie przecinają horyzont. Samolot roluje na brzeg lotniska. A więc to tu? Ostrożnie stawiam nogę na ciemnej bieżni. Dotknęliśmy ziemi kołami, może w tym samym miejscu, w którym oderwały się koła generalskiego samolotu, by już nigdy po niej się nie potoczyć.

Wtedy była noc. Generał się niecierpliwił, chciał lecieć jak najprędzej. Wreszcie wszystko gotowe. Zamknęły się drzwiczki Liberatora. Samolot dudniąc głucho porolował daleko, na tamtą stronę lotniska, za drogę prowadzącą do Hiszpanii spowitej drutami, zawarowanej szarymi kopułami bojowych schronów. Gibraltar był wtedy jeszcze ciemny, gdy na hiszpań-

skiej ziemi migotały tysiączne światła. Hiszpania budziła się do zabawy i rozrywki. Tu jednak było cicho, tylko grzmiały motory, a wszędzie, na szczytach anten, na wystających zwisach skalnych, na dachach domów drżały czerwone światełka ostrzeżenia. Niebieskawa smuga reflektoru przecięła czerń nocy. Runway był długą aleją zaciemnionych lamp startowych: „Flare path", „świetlista droga" zdawała się rozciągać w nieskończoność. Grzmot motorów odezwał się mocniej i światła pozycyjne zaczęły biec ku patrzącym od ciemności, ku skale. Zbliżają się ku czerwonym znakom, znaczącym koniec lotniska, odrywają się od ziemi, wznoszą się i nagle opadają w ostrym łuku ku morzu i nikną. Głuchy grzmot i szum.

„Wypadek" — ktoś krzyczy...

Gubernator Mac Ferlan rzuca się bez słowa w mundurze z brzegu w ciemne morze, zaczyna płynąć, za nim porucznik Łubieński, polski oficer łącznikowy.

Pierwsze wypłynęło ciało generała...

Zwodnicze skrzydła maszyny nie doniosły nadziei do portu. Trzasnęły o morze grzebiąc nowego Ikara, który wierzył we wolność przyszłych dni. Leciał za górnie i nie doczekał się tej chwały, która czeka „wszystkie narody walczące o swą wolność"...

DZIEŃ TRZECI

Naokoło przeciętny film amerykański o marynarzach zawalidrogach w Manilli. Ciepło, palmy, gdzieniegdzie kwiaty na murach. Ulice wąskie, zapchane marynarzami, lotnikami i wojskiem. Wśród tego tłumu wojskowych przemykają się kobiety o ciemnej cerze, olbrzymich oczach i mocno wymalowanych wargach. Fryzury upięte nad czołem, buciki na wysokich korkach: miejscowe Hiszpanki. Z mijanych czeluści knajp dolatują skrzyp harmonii i wrzask trąbek oraz łomot bębnów, na tym tle wyrywa się od czasu do czsu przytłumiony wrzask chóralnego śpiewu. Przez tłum przebija się od czasu do czasu jakiś samochód. Nie wolno używać klaksonów, więc szoferzy łomocą prawą pięścią w karoserię, wywołując dźwięk podobny do tłuczenia garnków metalowych o podłogę kamienną.

Przed pałacem gubernatora nieruchomo stoi żołnierz. Pałac gubernatora t.zw. „Convent", dawny klasztor, na zewnątrz nie wygląda okazale, jednak na wewnątrz pełen jest cudownych korytarzy, krużganków i przejść zamkniętych kutymi ornamentalnie kratami, przestronnych „patio" z drzewami pełnymi mandarynek. Nad nimi zza muru wychylają się cienie starych palm.

Main Street. „Brama Południowa" otwarta na oścież: przez nią przepływają nieustannie tłumy przechodniów i szeregi samochodów. Jest krępa, zbudowana z potężnych bloków. Na jej straży stoi stara armata o takim kalibrażu jakby miała strzelać beczkami wina a nie kulami. Za nią mały cmentarzyk pełen kamiennych płyt, to „Trafalgar Cemetery". Nad nim bastion ogromny i jakiś na pół zatarty wielki napis oraz data A.D. 1564. Dalej już wąskie betonowe drogi wiodące na „Skałę", wznoszącą się ponad cmentarzykiem na dobre 1400 stóp.

Z okna hotelu widać całą zatokę i brzeg hiszpański Algeziraz i La Ligna, nad nimi w głębi inne góry z czubami w śniegu. Blisko olbrzymi lotniskowiec wypuszcza dymy z komina. Koło niego kręcą się małe stateczki. Pachnie wiosną, jednak to zapach odmienny od woni polskiej wiosny, pachnącej ziemią i młodymi baziami wierzb przydrożnych. Tu niesie wiatr ów zapach podniecający, który znają dobrze bywalcy Mediterraneum i Mórz Południa, zapach, który wabi na słone przestrzenie, nie mające granic, których kamieniami milowymi są porty. Wśród nich czas nie odgrywa roli, a fala niesie ludzi swobodnie od przygody do przygody. Był to ongiś świat marzeń dziecinnych, snów młodzieńczych, planów męskich, trudno dostępny Polakowi z nizin mazowieckich czy siennych

pól Podola. Jednak od czasu gdy Ten, co tu zginął wywiódł nas na jego szerokie szlaki, Polska stanęła od razu realnie tuż nad jego brzegiem, stając się w swym nieszczęściu w znacznie większej mierze państwem o znaczeniu światowym, niż wtedy, gdy spoczywając za opłotkami „wsi spokojnej, wsi wesołej" snuła sny o potędze.

KEY CEREMONY

Od bramy południowej ciągnie wojsko. Naprzód czterech na białych koniach, potem orkiestra z fanfarami i głównym doboszem w skórze tygrysiej, wreszcie — sierżant przepasany przez pierś szeroką czerwoną szarfą i trzech szeregowych. Pochód zamykało znowu czterech jezdnych policjantów na odmianę na myszatych koniach.

— Dokąd idą?— zapytałem naszego oficera łącznikowego, patrząc z okna jego mieszkania.

— Na Key Parade. Świetnieście trafili, zapraszem panów na tę ceremonię...

Szofer szczególnie silnie grzmocił pięściami po karoserii, jadąc przez zapełnioną po brzegi Main Street, lecz dobrnęliśmy w końcu na miejsce. Postawiono nas na balkonie wielkiego dziedzińca, gdzie byli już i inni oficerowie. W głębi wznosił się przysadzisty barak, coś w rodzaju koszar, po obu bokach jakieś mocno hiszpańskie budynki. W tyle droga i chodnik, zapchane tłumem robotników wracających po robocie z Gibraltaru do Hiszpanii. Cisnęły się u solidnej niskiej bramy fortecznej, przy której stał posterunek. W cieniach tej bramy majaczyły wielkie, solidne, dębowe, okute wrota.

Na podwórcu kompania wojska, orkiestra, osobno z boku sierżant na czele swych trzech szeregowych z karabinami, frontem do małego podwyższenia, przy którym powiewały flaga brytyjska oraz dwie mniejsze flagi zielone z herbem Gibraltaru.

Za chwilę, poprzedzany motocyklistami w białych rękawicach, wjechał Gubernator. Wyszedł z samochodu i skierował swe kroki ku podwyższeniu dzierżąc w ręce olbrzymiego wymiaru· klucz. Po odebraniu przez niego honorów, zbliżył się do podwyższenia sierżant, tupnął, zasalutował. Wtedy Gubernator wręczył mu uroczyście klucz z poleceniem „zamknięcia bram Gibraltaru".

Sierżant wrócił na swe miejsce. Teraz orkiestra rozpoczęła swój taniec. Orkiestry brytyjskie także grają, lecz ich głównym obowiązkiem jest coś w rodzaju tańca z głównym tancmistrzem na czele, którym jest tambour major. Trudno opisać co oczy widziały a uszy słyszały. Mimo woli myśli się cofały o wiele wieków wstecz, do czasów, gdy wypudrowani, opięci w kapiące złotem mundury grenadierzy, wykonywali swe uczone, a skomplikowane ceremonie. Zmieniły się mundury, pozostały zaledwie szczątki w postaci jakiejś skóry niedźwiedziej czy tygrysiej, przerzuconej przez pierś czy plecy jakiejś szarfy, czy szczegółu umundurowania, lecz obrzęd hieratyczny tańca odbywa się jeszcze w swej nieskażonej pochodem czasu formie. Nie były bynajmniej śmieszne dziwne ruchy tambour majora, który podnosił kolana „do wysokości brzucha", stąpając jak koń arabski, czy szeroki rozmach ramion sierżanta z szarfą, ani kadryl orkiestry w takt walca. Biła z nich śmiertelna powaga, dostojeństwo wielkich tradycyj, które są jednakie dla tych, którzy w tej chwili biją się w Burmie, strzegą północnych przełęczy Indii, czy odbywają przeglądy z Murzynami w Kamerunie. Jednakie dla pułków górali indyjskich, szkockich Black Watch, irlandzkiej gwardii, czy Royal Marines.

Orkiestra skończyła. Teraz ruszył sierżant ku bramie, prowadzącej do Hiszpanii. Posterunek przy bramie wypadł, nachylił symboliczny bagnet (bagnetu nie ma przy nowoczesnym karabinie) i zapytał:

— Kto idzie?...

Padła odpowiedź. Bagnet — wizja podniósł się, posterunek zaprezentował broń przed słowem i rozkazem Gubernatora i wszyscy wspólnym wysiłkiem zaczęli zamykać bramę, którą ku mojemu zdumieniu naprawdę zamknął ów sierżant swym kluczem godnym Świętego Piotra. Jednak w czasie całej ceremonii tłumy robotników bez trudu przechodziły na drugą stronę bramy przez boczne furtki. Był i w tym wielki symbol: tradycje nie powinny przeszkadzać życiu. Istnieją bowiem obok życia. Kontrolują go, bez wkraczania w jego nowe formy. Są wyrazem trwania i istnienia Wielkiego Imperium w jego niezmiennej formie, są hołdem złożonym tym, którzy spoczywają na Trafalgar Cemetery od czasów Nelsona czy tym, którzy polegli na samolotach tuż obok, startując z betonowego, ultranowoczesnego lotniska, jak niemniej tym, którzy teraz walczą „o sprawę dla wszystkich narodów miłujących wolność". Są wieczną pamięcią spraw i pokoleń, które przeminęły, testamentem dla tych co są i co przyjdą, trwałym mostem, który łączy nowe i stare lata...

Jutro będzie mówić Gubernator nad tablicą pamiątkową: „Jestem przeświadczony, że tablica pamiątkowa pozostanie tutaj jako oczywisty dowód przyjaźni i wzajemnego poszanowania, jakie istnieją między naszymi dwoma narodami", bowiem z chwilą gdy zostaną oddane Władysławowi Sikorskiemu brytyjskie honory wojskowe, których formę przepisały regulaminy z czasów królowej Elżbiety, Władysław Sikorski wejdzie w sferę świętych tradycyj wojskowych brytyjskich, które w ten sposób połączą ideę Polski z ideą Common Wealthu i stworzą nową tradycję, dalej wiecznotrwałą, która tu w nowej erze powietrza na betonie lotniska Klucza Świata wyciśnie swą stałą dokumentarną pieczęć i piętno.

Wieczorem siedzieliśmy wszyscy w sali oświetlonej, pod tarczami rycerskimi z herbami Gubernatorów. Pomyślałem w tej chwili o naszym biednym, opuszczonym i zapomnianym ostatnim konsulu dawnej Rzeczypospolitej w Madagaskarze, który już po rozbiorach aż do pierwszych lat ery napoleońskiej wychodził na molo w mocno poszarzałym i połatanym kontuszu do każdego okrętu reprezentując naocznie Jej Nieśmiertelność.

Dziś nasi konsulowie nie mają wyszarzanych kontuszów. Choć dziś Polska jest tylko polem bitew, które ryją gąsiennice czołgów niemieckich i rosyjskich a krew bluzga tę wiecznie ranną tętnicę Europy. Istnieje jako władza, rząd i wojsko, będąc więcej niż krajem w określonych granicach, lecz także i przede wszystkim jasną ideą przewodnią innych krajów w ciemnościach tej wojny. Ta idea zaważyła przecież na losach Wielkiej Brytanii w 1940 roku. Dlatego nie jesteśmy tutaj w obliczu przedstawiciela jednej z największych potencji ziemi na szarym końcu, lecz na miejscu pierwszym, należnym nam jako reprezentantom wielkiego narodu. I to właśnie głównie zawdzięczamy Temu, który tutaj u wrót mate ialnego świata zginął, trzymając w swej dłoni klucz mistyczny, wyraz siły, której na dywizje nie wolno liczyć, gdyż wszystkie dywizje świata złamać Jej nie są w stanie.

ODSŁONIĘCIE TABLICY

Przebieg ceremonii i mowy wypowiedziane znane są wszystkim ze sprawozdań dziennikarskich. Wiemy, jak to się odbyło, gdzie jest tablica wmurowana i jak wygląda. Jednak sprawozdania dziennikarskie nie mogły ująć samego nastroju tej skromnej zresztą, ściśle wojskowej uroczystości. Nie oddadzą też moje słabe słowa. Bo któż opisze scenerię skał, żelaza i morza, któż niebo pogodne i jego smętny wyraz, któż ciszę barek rybackich opodal brzegu, zarzucających sieci rybackie opodal miejsca wypadku.

Któż opisze uczucia nas, kilku Polaków, gdy Europa z Azją usłyszały wezwanie rzucone przez wyprężonego jak struna kapitana Królewskiej Marynarki Brytyjskiej do oddziałów trzech rodzajów sił zbrojnych Imperium:

— To the Royal Salute!...

Królewskie honory zostały oddane przez Brytyjczyków na brytyjskiej ziemi cieniom Władysława Sikorskiego. Kiedyż zostaną Mu oddane, należne Naczelnemu Wodzowi, przez polskie oddziały w Polsce, takiej, jaką sobie wymarzył i dla jakiej zginął: Polsce przewodniczce narodów?...

Czwartego dnia wczesnym rankiem znaleźliśmy się znów na lotnisku. Było jeszcze ciemno. „Flare path" gorzał przyćmionymi lampami, długi korytarz w nieznaną ciemność, przecięty w dali liliowym krzyżem reflektorów. Wszędzie w górze, na niewidzialnej skale, na szczytach zaledwie przeczuwalnych anten, na dachach zatopionych w ciemnościach domów drżały małe czerwone światełka. Gdzieś szumiało morze, jeszcze niespokojne po wietrze i całonocnej burzy. Mokra powierzchnia bieżni połyskiwała wodą, łudząco podobna do powierzchni stawu. Gdy się na niej stanęło, aż dziw brał, że tak twardo stąpa się po wodzie.

Zajęliśmy miejsca. Zagrzmiały motory, samolot zaczął drżeć i dygotać. Rolowanie na start. Światła runwayu zaczęły coraz gwałtowniej uciekać wstecz, za nas, aż znalazły się pod nami. Zaświeciła w świetle reflektoru blada zjawa krążownika amerykańskiego, zakołysały się światełka doków, portu, miasta i góry. Aż znikło wszystko w mgiełce wstającego dnia, wreszcie pod samolotem zaczęło się marszczyć srebrno-matowe morze, połyskując na brzegach łusk czerwono, bo zona wisiała nad afrykańskim brzegiem, ubierając cząbry gór w krwawe baranice.

Startowaliśmy w odwrotnym kierunku, niż samolot Władysława Sikorskiego. Gdy tamtem wszedł we wszechrozumiejącą, mądrą nieskończoność, my wracaliśmy do codziennego życia małych trosk małych ludzi, małych kłótni i rozterek, w których trudno się doszukać prawdziwego klucza mądrości świata i prawdziwej drogi, którą wyznaczył Bóg poszczególnym ludziom i poszczególnym narodom. —

JIM POKER

ZGODNIE Z TRADYCJĄ

(*historia ponura, ale nieomal prawdziwa*)

For Britain is
A world by itself; and we will nothing pay
For wearing our own noses.

Ta cytata (Kurierek Krakowski napisałby „ten cytat") pochodzi podobno od samego Shakespear'a. W każdym razie jest niezmiernie słuszna. Wielka Brytania jest światem sama dla siebie... O tym przekonał się na własnej skórze kapitan marynarki X. — pierwszy mechanik Okrętu Rzeczypospolitej Polskiej „ŚWITEŹ".

Brytyjski „świat" jest tradycyjnie konserwatywny. Może dlatego Mrs. MacGregor rok rocznie jeździ na wakacje do Londynu, zamawiając pokój na 3 miesiące z góry. Gdy jej powiedziano, że tym razem Rząd Jego Królewskiej Mości radzi wszystkim aby unikali Londynu ze względu na różne latające paskudztwa, odrzekła: „Jeździłam przez 25 lat, ani Rząd ani Niemcy nie zmuszą mnie do zmiany zwyczajów".

Brytyjski „świat" jest tradycyjnie konserwatywny. Dlatego wszyscy narzekają na zimno i na brak opału. Ale gdy im kto zaproponuje postawienie uczciwego pieca, odpowiadają z niedowierzaniem: — To niemożliwe. — I w dalszym ciągu marzną sami, grzejąc Anglię buchającym z kominków na zewnątrz ciepłem. Zgodnie z tradycją.

Brytyjski „świat" nie wyobraża sobie aby „na kontynencie" (mówi się — „*on the Continent*" — tak jak w Polsce mówiło się — „w Ameryce")

coś mogło być inaczej lub lepiej niż w starej, poczciwej Anglii. Toteż zacna Mrs. Smith, wpadłszy w Paryżu pod trzeci z rzędu pojazd, zawołała zgorszona: — Nie rozumiem dlaczego oni tu wszyscy jeżdżą w złym kierunku! (Ruch prawostronny oczywiście nie przyszedł jej do głowy). A Mr. Lewis wysiadając w Szwecji z pociągu, ku zdumieniu wszystkich pasażerów otworzył przy 25-stopniowym mrozie okno, aby...otworzyć drzwi. Nie wyobrażał sobie bowiem, że drzwi wagonu mogą mieć klamkę od wewnątrz.

W roku 1850 Admiralicja Brytyjska sprzeciwiała się budowie żelaznych okrętów, twierdząc, że drzewo pływa, a żelazo...tonie! W trzydzieści lat później też Admiralicja sprzeciwiała się wprowadzeniu dział odtylcowych — jej zdaniem niebezpiecznych...(tak samo jak wewnętrzne klamki w wagonach). Poważni lordowie nie wyobrażali sobie, że armaty można ładować inaczej niż z przodu...

W roku 1943 Mr. X. — namiętny zbieracz broni starożytnej pokazał mi pistolet pojedynkowy misternej roboty. — Francuski i bardzo stary — oświadczył z dumą.

Wziąłem pistolet do ręki. Napis głosił: Manufacture d'Armes à Wiener Neustadt MDCCCLXXXV.

— Nie francuski ale austriacki — sprostowałem. I wszystkiego o siedem lat starszy ode mnie.

— *How do you know it*? — padło pełne rozczarowania i zdziwienia pytanie.

— Przecież rozumiem po francusku. I znam rzymskie cyfry.

— Jeśli tam jest po francusku czy po rzymsku, to pistolet nie może być austriacki...

— Ba, herb angielski zawiera dwie francuskie dewizy, nie mniej przeto jest herbem Zjednoczonego Królestwa.

— *Impossible*!

Pokazałem mu w jakiejś książce oryginalny herb Wielkiej Brytanii z dumnymi napisami: „Dieu et mon droit" — oraz — „Honni soit qui mal y pense". Musiałem wytłumaczyć co to znaczy.

Zgodnie z tradycją Mr. X. wykazał dużo poczucia humoru, oświadczając:

— *You know, we are a peculiar people.*

Brak klamek w wagonach nie przeszkodził jednak kolejom brytyjskim być najszybszymi na świecie. A opóźnienie budowy pancerników z dalekonośną artylerią, dało w rezultacie rewanż: „Dreadnought" — pierwszy na świecie i jedyny w swoim rodzaju nadpancernik, którego narodziny stały się powodem likwidacji setek dawnych pancerników i krążowników we wszystkich flotach świata.

Anglicy nie mają wyobraźni. To prawda. Złośliwi twierdzą, że — angielska wytrzymałość na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa wynika z tej wady. Bylibyśmy skłonni nazwać to zaletą. Bo jeśli brak wyobraźni wpływa, że Mr. Johnson czyta spokojnie gazetę (a raczej nagłówki w gazecie) pomimo warkotu bomb latających i huku wybuchów, a Mr. Freeman w szóstym roku wojny nie zmienia na jotę pracy w swoim biurze („*business as usual*") — to wychodzi to oczywiście w końcu na dobro kraju.

I może ten właśnie tradycyjny konserwatyzm, łącznie z brakiem wyobraźni, sprawił, że Wielka Brytania nie przegrała dotychczas ani jednej wojny. Zgodnie z tradycją.

* * *

Przysłowiowy brytyjski brak wyobraźni, łącznie z tradycyjną „wyspiarskością", stał się jednak powodem awantury w którą wplątał się niebacznie kapitan marynarki X. Oddajmy tedy głos jemu samemu, akurat w chwili gdy swą tragiczną historię opowiada pewnej Polce:

— Bo widzi Pani, żeby to zrozumieć, trzeba znać się trochę na odznakach i stopniach w marynarce. To bardzo proste. Ja, na przykład, po polsku nazywam się kapitan, ale po angielsku to nie jest „captain" tylko,

„lieutenant-commander". Nie należy jednak „lieutenant-commander" tłumaczyć dosłownie na „komandor-porucznik", bo komandor-porucznik to po angielsku „commander". Ale „commander" to nie nasz „komandor", bo nasz komandor to angielski „captain". A „captain" to znów nie kapitan tylko właśnie komandor, bo kapitan to „lieutenant-commander" i odpowiada majorowi, choć u nas tylko kapitanowi. Zgodnie z tradycją. Zrozumiała Pani?

— Nic a nic. Kręci mi się w głowie.

— Zaraz Pani zrozumie. Ja mam trzy galony kapitańskie, ale u Anglików takie trzy galony nosi „commander" czyli po naszemu komandor-porucznik — człowiek w hierarchii dość wysoko stojący. Że zaś Anglicy zawsze myślą — „wszystko tak jak w Anglii" — tedy wzrokowo awansuję u nich o dwa stopnie. Ma to swoje dobre strony.

— A co znaczy ten czerwony pasek?

— Otóż to. Absolutnie w sęk Pani trafiła. O tę podkładkę czerwoną poszło. Bo widzi Pani, marynarka nie jest bronią, ale częścią sił zbrojnych Najjaśniejszej. I sama posiada swoje bronie. I te bronie i służby odróżnia się właśnie według koloru podkładki pod galonami.

— To bardzo logiczne.

— Nie zawsze. Oficer korpusu morskiego, który zgodnie z tradycją jako „sam smak" marynarki ma podkładkę koloru czarnego, za nic jej się nie wyzbędzie. Taki już u nich tradycyjny „esprit de corps". Siedzą więc niektórzy starsi panowie z czarnymi podkładkami przy biurkach i pływają na O.R.P. „FOTEL", ale korpusu osobowego — nawet dla awansu—nie zmienią. Na stanowiskach administracyjnych siedzą oficerowie służby technicznej (zielona), ale za to w grupie oficerów administracji (brązowa) można znaleźć wszystko — wywiad, historię, oświatę, wyszkolenie, organizację — tylko nie administrację. Na całe szczęście nie pomieszano jeszcze lekarzy z komisarzami, choć były już „zmieszania" korpusu brzegowego z lotnictwem morskim.

— No, ale pan ma czerwone...

— Tak. To znaczy, że jestem pływającym oficerem-mechanikiem. Kombatantem. Na prawdziwym okręcie. I zgodnie z tradycją, jeżeli ja maszyną nie pokręcę, to na pomoście najgroźniejszy komandor nie da rady... Z portu nie wypłynie.

— To pan niby taki ważny.

— A bardzo ważny. U Anglików to się nazywa „Chief". I ja właśnie noszę czerwoną podkładkę. Tylko bieda w tym, że Anglicy nie mają wyobraźni. I myślą, że wszystko jak u nich. A u nich czerwone nosi zgodnie z tradycją...lekarz.

I teraz widzi już pani tragedię. Idę sobie po ulicy w niedzielę po południu, bo właśnieśmy rano dobili i parę godzin można się było powłóczyć, nogi rozprostować. Idę ulicą, a właściwie tym, co niegdyś ulicą było, bo domów całych trudno się doszukać, jak dziewicy w Londynie. Idę, po naszemu — kapitan-mechanik, a po ichniemu (wzrokowo) „surgeon-commander", czyli komandor-porucznik-lekarz. Rozumie pani?

— Coś niecoś.

— Idę ulicą, myślę co by przez te 4 godziny zrobić. Wiadomo niedziela. W Polsce człowiek wiedziałby... A tu, zgodnie z tradycją" psy w niedzielę wyją". No i opadli mnie...

— Co!?

— ...ludzie. Jakaś baba. I jakaś dziewczyna. I jakiś gość ze stoczni. I w krzyk. Że to jego żona rodzi i nie mogą doktora się doprosić. (Pojechał pewno na week-end — zgodnie z tradycją i ze „sweetheart'em" — nigdy mu tego nie zapomnę). No i żebym zaraz szedł...ratować.

Tłumaczę im na ile mnie stać w „pidgin-English", żem nie doktór od położnic, nie jamnik żaden, tylko taki uczciwy doktór od maszyn. A oni nic. Nie rozumieją. A potem ten jegomość powiada: — „Nie mów, żeś

nie doktór — przecież widzę — jesteś surgeon-commander... Ja się znam".

Więc ja mu znów, że w Polskiej Marynarce są inne oznaki. A tu tymczasem zbiera się tłum. Taki angielski tłum. Nic nie mówi...na razie słucha. Ja tłumaczę, a oni słuchają. Aż nagle jakaś kobieta woła:

— Znam ich tych „*crazy Poles*". Robić dzieci naszym dziewczynom to umieją, ale dopomóc nieszczęśliwej matce, to nie... Wszystko landlordy i faszysty. Do Lady Astor tobyś już poszedł, ale do biednej dziewczyny nie chcesz...

Na czoło wysunął się chudy, wysoki na 2 metry drab. Powiedział tonem spokojnym ale wykluczającym sprzeciw:

— *You better go...*

Może miałem mu tłumaczyć, że Lady Astor z pewnością na nic bym się nie przydał, bo siedemdziesięcioletnia matrona nie może mieć dziecka. Albo może miałem wywołać interwencję w Izbie Gmin na tradycyjny temat: „reakcyjnie usposobionych Polaków, nadużywających gościnności tego kraju"? Co było robić? Poszedłem.

„*Wait and see*" — powtarzałem w duchu tradycyjną maksymę brytyjską.

W zamrożonym pokoju, w którym bez przerwy huczało radio, wiła się w bólach młoda dziewczyna. Spojrzała na mnie okiem zranionej sarny i — zgodnie z tradycją brytyjską, zapomniawszy o rodzeniu, rzekła:

— *How do you do, doctor?* To ładnie, że pan przyszedł.

— *How are you?* — spytałem z kolei, sądząc, że w odpowiedzi otrzymam stek jęków i narzekań.

— *I am all right* — powiedziała odważnie. — Tylko mąż i matka bardzo się przelękli, bo to pierwsze dziecko.

Stałem bezradny i głupio uśmiechnięty. Sytuacja była naprawdę groźna. Jeśli nic nie zrobię i dziewczynie lub dziecku coś się stanie — wina spadnie na mnie. Jeśli coś zrobię?... Ale co?... Wolałbym wleźć w rotor turbiny wysokiego ciśnienia, albo do kotła w chwilę po wygaszeniu...

Naraz myśl genialna błyskawicą przecięła mózg.

— Ależ ja nie mam narzędzi! — zawołałem. — Sprowadziliście mnie z ulicy, nie daliście wytłumaczyć... Za 15 minut wrócę... Pilnujcie jej... Nic prócz herbaty... Puls dobry — na chwilę ująłem chorą za rękę i wybiegłem.

Na pierwszym rogu wpadłem do budki telefonicznej i wydzwoniłem pogotowie. To — tamtym oczywiście nie przyszło do głowy, bo nie leżało w tradycji zwyczajowej. Za czasów Cromwella i Nelsona pogotowia nie jeździły.

— Tu leży położnica — wytłumaczyłem sanitariuszowi ambulansu, który szybko nadjechał. — Zaraz pokażę...

— *Yes, sir* — padło z wielkim szacunkiem.

Pomaszerowaliśmy na górę. Wydałem kilka ogólnikowych zarządzeń. Sanitariusze wprawnie wynieśli chorą.

— Jedźcie powoli — dodałem groźnie na odchodnem.

— *Yes, sir! Very good, sir!* — padły dwie tradycyjne odpowiedzi.

Karetka odjechała. Uszczęśliwiony mąż pytał się kiedy dam im znać. Powiedziałem, żeby poszedł do „pub'u", bo to kwestia kilku godzin. Mama ofiarowała mi, zgodnie z tradycją, filiżankę herbaty, a siostrzyczka najpiękniejszy i bardzo obiecujący uśmiech.

Swoją drogą byłem niespokojny. Zatelefonowałem późnym wieczorem do szpitala, podając nazwisko pacjentki. Spytano „kto mówi"? Ostrożnie podałem swoje, unikając stopnia, a licząc, że i tak nie zrozumieją. Telefon zakszstusił się „cockney'em":

— *Are you p'haps the Polish surgeon-commander?*

— Tak — odrzekłem niechętnie.

— *Everything all right, sir*, dziękujemy za pomoc.

Trzeba było grać rolę do końca. Odnalazłem uliczkę, zawiadomiłem męża. Niestety... brak własnej tradycji sprawił, że zapomniałem w szpitalu

się spytać: córka czy syn? Ale o tej drobnostce wobec powagi chwili prędko zapomniano. Musiałem się bronić przed honorarium w postaci 10 szylingów. Za to wypiłem jeszcze 3 filiżanki herbaty, ucałowałem siostrzyczkę i postawiliśmy sobie z mężem po jednym „double-whisky". Zgodnie z tradycją.

— I już koniec?— spytała piękna Polka.

— Pani, jak wszystkie Polki, zgodnie z tradycją jest zachłanna. Więc pocieszę Panią. Najprzód były wzmianki w prasie...

— Jakie wzmianki?

— Jeden miejscowy dziennik, zgodnie z tradycją, zamieścił wielki tytuł „The Gallant Polish Surgeon". Z podtytułem: „Żona robotnika stoczni uratowana przez lekarza polskiej marynarki". Niżej zaś treść mnie więcej następującą:

„Surgeon-commander Bdziarbreski (to miało być moje nazwisko) sprowadzony przypadkowo z ulicy i bez narzędzi do spodziewającej się dziecka Mrs. Williams, tak zręcznie dokonał zabiegu, że dziś dziecko i matka mają się doskonale.

Commander Bdziarbeski (dla „odmiany") jest wybitnym polskim lekarzem. Studiował medycynę w rosyjskim mieście Lemberg. Jego żonę Niemcy wywieźli na Syberię. Rodzina posiada książęcy tytuł, ale odrzuciła go ze względów politycznych. Zamek rodzinny w Karpatach został spalony przez Finnów. Commander Bralekrski (hm!) pływa od początku wojny i posiada wiele odcznaczeń bojowych. Winszujemy polskiej marynarce tak dzielnego oficera i ufamy, że niedługo będzie on... back in Gdynia".

— Wspaniale!

— To nic. Druga gazeta, też zgodnie z tradycją dała nagłówek: „Polski lekarz odmawia pomocy położnicy". I podtytuł: „Polacy nadużywają naszej gościnności". Treść była następująca:

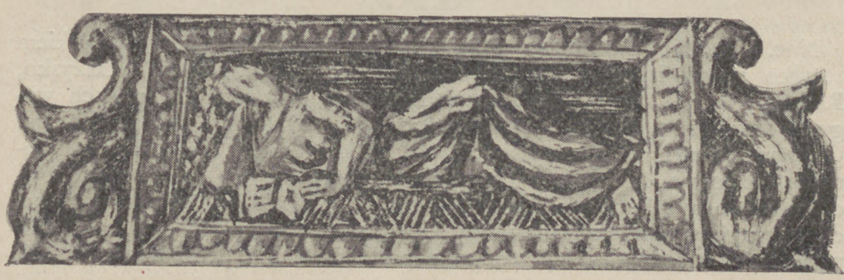
„Wezwany do leżącej w połogu żony robotnika stoczni — lekarz polskiej marynarki wojennej odmówił udania się do chorej. Sąsiedzi wezwali pogotowie, które przewiozło chorą do szpitala. Stan matki i dziecka jest groźny. Nie ulega wątpliwości, że spóźniona pomoc stała się powodem komplikacji.

Jasnym jest, że polscy faszyści nadużywają naszej gościnności. Commander Zambruski (?) należy do reakcyjnej kliki polskich oficerów. Są dowody, że był w Polsce landlordem i faworyzował Pilsudski's dictatorship. Czy nie czas pozbyć się tych emigrantów, wychwalających Hitlera i siejących nieporozumienia między sprzymierzonymi?!!".

— To wszystko?

— Mniej więcej. Aha! Zapomniałem. Był jeszcze, zgodnie z tradycją— epilog polski. Ktoś z „emigrantów" powiedział, że przywłaszczyłem sobie stopień komandora-porucznika, a ktoś inny, że dokonałem niedozwolonej operacji... Miałem dochodzenie i dwie sprawy honorowe. No, ale, jak mówi ten ich Kippling: „To już inna historia".

A wszystko przez tę czerwoną podkładkę i brak wyobraźni u Anglików. Zgodnie z tradycją.



MAGDA STRYJEŃSKA

FILM Z POLSKI

WIELKANOC

Kraków 1943 r., czwarty rok wojny, czwarty rok koszmaru i czwarte wojenne święta, może tym razem ostatnie? Na rezurekcję biją dzwony kościołów tak jak dawniej, przed ołtarzami pochylony tłum o smutnych oczach. „Boże ratuj, Boże daj przetrwać, Boże wróć wolną Ojczyznę", szepcą usta proste modlitwy za tych, którzy już nie żyją, za tych w niewoli, za tych katowanych po obozach, za tych, którzy są daleko rozsypani po świecie. A równocześnie gdzieś w pamięci: „tu mówi Londyn, jesteśmy myślą z wami, już niedługo, przetrwajcie", mówił rano głos złapany na fali radiowej w piwnicy. Biją dzwony pełne nadziei i z twarzy bije wiara w przyszłość. Nad miastem jest szare niebo, deszcz ściera kurz z wydeptanych chodników, a w domu pachnie wojennym ciastem i ciemną mąką.

Niedziela, Wielkanoc, święta. Drzewa wyginają się dumnie pełne młodych liści. Zielono. Pierwsze wiosenne słońce i pierwszy wiosenny wiatr. Na ulicach tłumy, na plantach tłumy, wymizerowane twarze zaczynają odżywać w uśmiechu, jacyś znajomi, stukot drewniaków, jakiś nowy kostium utkany z owczej wełny, jakaś stara sukienka po raz setny przerobiona, jakieś czerwone usta przechodzącej kobiety — rewia wojennej mody, robi się lżej.

Od czasu do czasu mija w tłumie niemiecki mundur, albo kask niemieckiego policjanta. Dziś nie zwraca to niczyjej uwagi, przestaje istnieć. Takie wielkie święto, chyba dadzą spokój, chyba nie będzie łapanki. Tramwaje przepełnione; piskliwy głos obdartego andrusa śpiewa dyszkantem piosenkę:

„Siekiera, motyka, bimber, szklanka,
„W nocy nalot, w dzień łapanka,
„Siekiera, motyka, bimber, alasz,
„Przegrał wojnę głupi malarz"...

Wszyscy się śmieją, wszyscy się rozczulają i wszyscy płaczą. Trzeba udawać przynajmniej, że są jeszcze dnie bardziej normalne, bardziej własne. Bo jeszcze żyjemy, my którzyśmy przeżyli. A w domu, biały obrus na stole, kawałek kiełbasy, parę kupionych w pasku kolorowych jajek i erzatzowa świąteczna babka, trochę kwiatków i kieliszek tradycyjnego bimbru. Zaczynają się życzenia o dobrym spojrzeniu, za rok może już będzie inaczej, może już naprawdę u siebie, bez nich. A jutro? Jutro zacznie się znowu ponura rzeczywistość, zacznie się ciężka praca, walka i godziny pełne lęku. Nie, nie myśleć! Nie jutro, ale dziś, dziś są święta Wielkanocne, pachnie wiosną i dzwony biją tak jak dawniej. I mimo rzeczywistości jest raźniej, lepiej.

POCIĄG

Noc. Warszawski pociąg przemyka się zygzagiem jakby ukradkiem tylko snopy iskier oświetlają zaciemnione stacje: Kielce, Skarżysko, Radom. Skuleni w mroku ludzie, drzemiący na twardych ławkach wagonu nagle zrywają się z nerwowego snu. Trzaskają drzwi. Policja! Gestapo! Rewizja. Ausweis — Bitte! Ryk — Sakra! du Schwein! kopanie, bicie po mordzie. Wszystko to następuje po sobie regularnie, odmierzone w sekundach. W przedziale przy oknie jakaś dama w futrze drżącymi rękami przeszukuje torbę. Upada pomadka do ust. Naprzeciwko paskarka o zmiętej twarzy wdeptuje pod ławkę pół prosiaka w worku.

O Jezu, może nie zauważą. Jakiś robociarz przy drzwiach nasuwa czapkę na nos i klnie siarczyście: „a żeby was cholera, żeby was połamało, wy sukinsyny, niech was szlag trafi!" i spluwa z obrzydzeniem. Dwuletni dzieciak na kolanach matki drze się w niebogłosy, jakby chcąc przekrzyczeć ryki gestapowców szalejących w sąsiednim przedziale. W rogu młoda dziewczyna o twarzy białej, białej, białej wpatruje się tępo w swoją walizkę na półce. Tam jest poselstwo. Jeszcze chwila, zaraz wejdą, stanie się, a niech się już stanie. Ryki zbliżają się, zatrzymują. W drzwiach dwóch gestapowców w mundurach, jeden cywil z fotografią w ręku. Patrzą. Jaskrawe światło latarki przesuwa się wolno po każdej skulonej postaci, po każdej znieruchomiałej twarzy. Wieczność. Grobowa cisza, śmiertelny lęk. Słychać niemal zwariowane bicie serc pomieszane ze stukotem kół o szyny. Mijają sekundy i wreszcie trzask drzwi wraz ze złym śmiechem gestapowca „nicht hier". Nie poznali. Nie poznali. Głęboki oddech, głowy z odprężeniem opadają na kolana. Ktoś biegnie korytarzem, znowu krzyk, ktoś wyskoczył w pędzie. Słychać strzały. A potem cisza. Zmęczony pociąg dojeżdża do Warszawy. Walizka szczęśliwie podana komu innemu. Teraz tylko wyjść. Ciemny dym snuje się nisko nad miastem. Wczoraj była Wielkanoc, lecz dziś tutaj przychodzi działać, walczyć, pełzać, ryć się pod ziemią.

I nagle, spokojny, zimny głos gestapowca: „Du... kommen Sie mit..."

CELA

W więzieniu na Monteluppich w Krakowie klucz zazgrzytał w zamku celi nr. 205, na końcu korytarza na lewo. Słania się popychany cień człowieka na uginających się nogach, prowadzonego na przesłuchanie. Przez głowę jego przesuwają się oderwane myśli, jedne po drugich: to już szósty raz dzisiaj, pewno zatłuką na śmierć! Boże, zlituj się, w domu nic nie wiedzą. Żona, dziecko, życie... rok temu byłem jeszcze człowiekiem, dziś jestem mizernym więźniem, psem do kopania, krzesłem, stołkiem do rozwalenia. Może wreszcie skończy się to piekło! Byle przedtem móc zapisać nazwisko na ścianie celi.

Cela. Trzy kroki w przód i trzy w tył. Mijają godziny, dnie, miesiące. Wszy, pchły, pluskwy, brudna słoma na ziemi i ściany, cztery ściany, które żyją. Rzeczy zapisane paznokciem, strzępem ołówka, grzebieniem. Nazwiska, imiona... jedno przy drugim, gęsto, od podłogi do sufitu. Tragedie wyryte na ociekających wilgocią i krwią ścianach, tragedie ludzi, którzy już przeszli. Napisy, daty — Jutro jadę do Oświęcimia, — Najbliższym transportem do Niemiec, — Obóz koncentracyjny w Majdanku, Rozstrzelanie dnia... roku... — Niech żyje Polska !— Dajcie znać żonie Annie Pawlikowej w Chrzanowie że mnie zabili, — Córuś moja, ty bądź szczęśliwa, — Zdradził mnie X.Z., — Strzeżcie się Edwarda, tego z brodą, — Just był świnia, — Powiedzcie że nie wydałam choć mnie bili w krzyże, — Umrę bo mam przełamany stos, — Jaśku zawsze cię kochałam, — Zgnije Hitler, — Boże już tylko w Tobie nadzieja, — Chryste ratuj... Napisy, daty, nazwiska, imiona, kreski liczonych dni, żywa, mówiąca, krzycząca księga nędzy człowieka. Pod przymkniętymi powiekami więźnia nr. 2507 coraz wolniej płyną myśli. Co dzień to samo i od nowa. Tak było długie miesiące. Piąta rano: kible, wrzaski, „kawa" czyli brudna woda w śmierdzącej misie, kawałek chleba, wrzaski, kopania. Południe: zupa, kopania, wrzaski. Wieczór: męka, śpiewy dochodzące z innych cel, śpiewy „Pod Twoją obronę uciekamy się", śpiewy. Noce najstraszniejsze ze wszystkiego: wycie katowanych więźniów, granie na harmonijce, wesołe melodie żeby zagłuszyć wycia nie do zniesienia, wpijające się w mózg, w serca. Noce. Noce i oczekiwanie końca. Boże! Czy istniejesz? Czy słyszysz?

Więzień na korytarzu powłóczy nogami, a teraz na mnie kolej. Idę na przesłuchanie. Strach. Będą prać, tłuc. Boję się. Promień słońca zesunął się z okna. W oknie są kraty. Za oknem jest dziedziniec, stukają miarowe kroki żandarma, zza muru dźwięczy dzwonek tramwaju, za murem żyje miasto. Za murem są jeszcze wolni ludzie, za murem, za murem tak niedaleko i tak nie do przebycia. Widać skrawek nieba. Mój Boże. Boję się. Zęby zaciskają się w bólu i bezsilności. Oczy z nienawiścią i pogardą patrzą na tworzących kordon katów gestapowskich. Usta szepcą wyraźnie — trzeba znieść, przetrwać. Przetrwam na pewno. Bo przecież kiedyś będzie Polska, a wtedy...

Drzwi do sali przesłuchań zamknęły się cicho.

A potem nagle przez przypadek, przez traf szczęśliwy, przez chytrość, przekupstwo, zręczność, odwagę, przez organizację która nie zapomniała, nagłe wydostanie się po miesiącach z kaźni i ucieczka w góry.

GÓRY

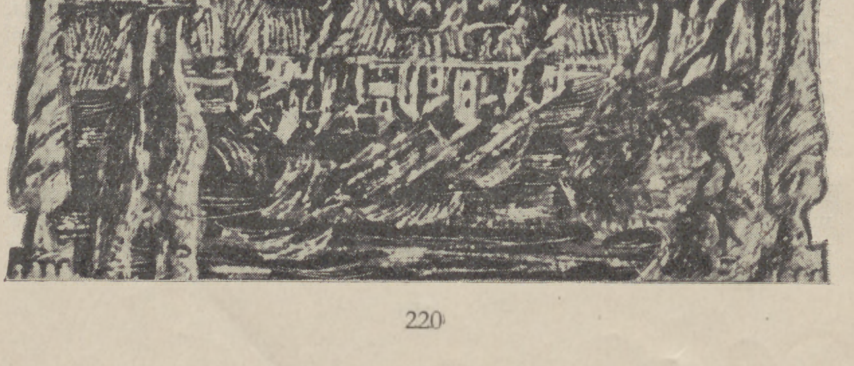
Na małej podhalańskiej wsi ludzie wychodzą z kościoła, migają kwieciste spódnice, wyszywane gunie, białe góralskie portki i jasne dziecięce głowy. Na drodze jest błoto pomieszane ze śniegiem. W chałupie święte obrazki patrzą zza wytartego szkła. Na kuchni warzą się grule — ogień trzaska, pachnie żywicą. Na stole leży broń, pięciu młodych ludzi, naszych „chłopców z lasu" grzeje zziębnięte ręce. Stary góral pykając cybuch z dumą i podziwem patrzy na spokojne twarze i mruczy przez zęby: „Aleście tyz piknie wyporządzili tę niemiecką ciężarówkę pod Nowym Targiem, postrzeloli, postrzeloli i pośli w diabły szwabskie nasienie, jeszcze przyńdzie dzień, ze jo stary pójde ich bić na śmierć! Maryna, zwijoj się z tym jedzeniem a i placków Państwu doj, siedzom to w lesie jak ten zwierz, to i o świecie zabacom, a dyć to juz na piąty rok idzie, piąta Wielga Niedziela".

Mija godzina. Słońce wysoko. Południe. „Idźcie ta z Panem Bogiem". Stary góral siada na przyzbie, mruczy do siebie „o mój ty Jezusicku ale naz casy nasły". Oddalające się buty chlupią w błocie na drodze.

W Tatrach króluje biały śnieg tej Wielkanocy. Chmury ze słońcem przewalają się za Zawratem. Cztery małe postaci na przełęczy wdychają ciszę, wspaniałość gór i kwietniowy wiatr. Przeolbrzymia, dobra cisza. Pierwsze ślady nart sunących bezszelestnie. Śnieg rozpryskuje się niebiesko-srebrną fontanną. Widać już kontury pustego schroniska Pięciu Stawów. Słychać szczery, serdeczny śmiech.

Tam, w dole, w dole jest wojna, są łzy, koszmar, Niemcy, Niemcy i zbrodnie i nieszczęścia. W dole jest brud, brzydota świata i zło.

Jakże rozkosznie jest chłonąć tę błogosławioną ciszę i piękno niezmienione dzikich, prostych, samotnych gór. Bo to jest wolność.



ALEKSANDER JANTA

ARCHANIOŁ

A gdyby Wenus z Milo była przejrzysta?

— Jak to przejrzysta?

— No na przykład z kryształu. Albo ze szkła, zamiast marmuru.

— Nie stałaby w Luwrze, przypuszczam. To byłby knot, nie żadne arcydzieło.

— A to dlaczego? Zakładamy przecież, że kształt jest ten sam, te same wymiary, to samo dłuto...

— Ale efekt i ciało inne. I o to właśnie chodzi. I tylko o to...

Jest lipiec, niedziela po południu w obozie jeńców. Słońce. Lenistwo błogie i wyzwalające. Rozebrani do naga, z wyjątkiem ciasnych spodni kąpielowych albo ręcznika dokoła bioder, leżą jeńcy na trawie w swobodnych pozach i opalają się. Rozmawia się od niechcenia. A dziś przypadkiem o sztuce. Sztuka gotowania, sztuka życia, sztuki piękne.

Rozdano przed pół godziną gazetę jeniecką. Nie czyta nikt. Z góry wiadomo, że propaganda. Wystarczy okiem rzucić na tytuły, przejrzeć niedbale ilustracje. Jaka potworna nuda. I nie ma od niej odwrotu, jak chyba tylko w odległe, abstrakcyjne tematy. Ale dzisiaj w gazecie uwagę skupiły na chwilę zdjęcia potężnych rzeźb. Z nowej wystawy w Paryżu.

Przedstawili tam Niemcy podbitej Francji swojego czołowego rzeźbiarza. Nazywa się Arno Brecker. Był nawet uczniem Rodin'a. Ma rozmach i wyobraźnię. Ma technikę. Ale obce mu jest czucie mistrza. Różnica jest właśnie różnicą między Niemcami i Francją. Wyznacza odległość nie do pokonania. Bo sztuka Arno Breckera jest sama w sobie programem. Jako portret ideału niemieckiej rasy. Jako obraz jej nowego ducha. Pomniki tego ducha, rzeźbione jego dłutem mają kształty wysmukłych atletów. Anatomię beznaganną. Sztywny chłód doskonałości. Są wymiarów nadnaturalnych. Same giganty. Klasyczne w rysunku, mocne, bezwzględne i zimne w wyrazie. Przyjrzyjcie się twarzom tych półbogów, tych blondasów bezczelnych — są zacięte i mimo czystości rysów jakby zdeformowane grymasem wewnętrznego napięcia. Nie ma w nich nic z odprężenia i swobody greckich pomników. Są sztuczni. Przypatrzcie się pozom do jakich przymusił ich rzeźbiarz. Są śmieszni...

Nadzy ludzie pochylili się nad płachtą gazety i studiują te wzory urody wrogiego im świata.

Rozmawia się tu i żyje bez jakiejkolwiek pruderii. Ciśnienie młodości rozsadza ramy odcięcia, powraca znaczenie zmysłom. Opalanie się, nagość, lenistwo — to wszystko są tylko formy zmysłowości jenieckiej. Wrażliwość na ciało, choćby własna. Nie przyglądali się sobie nigdy tak dokładnie, ani z takim poczuciem estetycznych wymagań. Jedyna forma piękna, dostępna dla nich. Jeżeli się zdarzy piękno.

Z przyglądania się Paul'owi, który z zawodu jest listonoszem w paryskiej dzielnicy Ménilmontant, urodziła się dla niego nazwa: archanioł. Paul jest okazem jasnowłosego atlety, jest stworzeniem o budowie bez zarzutu, jest sportowcem zapamiętałym i zatroskanym wyłącznie o formę. W pojęciu formy mieści się więcej niż tylko kształt tej klatki piersiowej boksera o szerokich ramionach, tych wąskich bioder tancerza, toczonych ud i doskonałych nóg skoczka, czy szybkobiegacza. Nie tylko strome, rozległe, opalone na ciemno plecy i elastyczny, grający ścięgnami kark, nie tylko głowa osadzona lekko i triumfalnie na prężnej, wysmukłej szyi. W pojęciu formy zawiera się jeszcze i to, co mówią koledzy, wołający go słowem: archanioł. Mieszczą się skrzydła. Nie te ciężkie, barokowe, uroczyste

— raczej lekkie, pogańskie skrzydła u nóg Hermesa, znak tylko, że nieborodny. Okaz jędrności i zdrowia. Arcydzieło doskonałej anatomii, równie szlachetne co czyste i dlatego może anielskie.

Czuje to zresztą on sam i promieniuje tym czuciem, jakby uśmiechem siły i szczęścia. Jak świadomością skrzydeł.

Aż tu komuś, patrzącemu na ilustracje w gazecie, wyrywa się nagle: — nasz archanioł jest przecież jak żywa rzeźba Breckera.

Nie oglądał dotąd gazety archanioł. Ale ledwo powiedziano, że podobny, rzucił się na nią. — Pokażcie!

Podciągnął w uklęku nogi, położył gazetę na sprężonych muskułami udach, pochylił się nad nią oparty rękami o ziemię, jakby gotowy do skoku. Napięciem wielkiej uwagi i naiwności dziecinnej patrzy na ilustracje. I nie rozumie. — Podobny?

Zdaje się urażony. Nie podoba mu się ten niby komplement. Nie wie tylko, jak tutaj zaprzeczyć tym porównaniom niewczesnym, brzmiącym dla niego dotkliwiej, niżby myśleli koledzy. Subtelna, intuicyjna sprawa odmiennego czucia. Odmiennego widzenia siebie, jako człowieka. Nie, to nie ja — odcina się niepewnie i odrzuca gazetę, jakby uciekał nie od pochwały, ale od zarzutu, że podobny. Kolegom aż chce się śmiać.

— Nie udawaj. Twój wygląd jest dla rasistów tutejszych prowokacją po prostu. Sam tego nie wiesz — próbują go naciągać, patrząc to na zdjęcia w gazecie, to na niego, jak malarz porównujący swoje dzieło z modelem — że jesteś typem nordyckim, co mówię, germańskim.

— Sto procent i to w najszlachetniejszym wydaniu — dopowiada drugi, jakby chciał dolać oliwy do ognia tego konfliktu.

Obrusza się archanioł, zgorszony.

— Francuz jestem. Czy ty to rozumiesz?

I już się nieledwie gniewa. Jednak położył się znowu, odrzuciwszy do tyłu ramiona.

— Ja to rozumiem — uspakaja go zaczepiający. —Ale mówimy o Niemcach. Oni nie rozumieją. Nie zrozumieją nigdy. Bo to jest wbrew Hitlerowi, to co ty pokazujesz — i piętnuje piękną nagość archanioła. — Bo to zaprzecza ich teorii. Francuz nie ma prawa tak wyglądać.

Archanioł uśmiechnął się znowu, rozbrojony. Odprężył się znowu, jakby na znak niewinności. Bo naprawdę co on temu winien? Kiedy jednak przeciągnął głowę profilem do łuku zgiętego nad nią ramienia wyglądał znowu niby odbicie rzeźby. Ale tym razem już nie Arno Brecker. Tym razem jak model Rodin'a dla pomnika „Spiżowy wiek". Pomnika nie kultu siły, ani studium czystej anatomii, lecz obrazu młodzieńczego rozbudzenia — i w nim szczytów liryki i czaru i w nim ogromu poezji.

Różnica między mistrzami jest nie tylko różnicą efektu, jest różnicą czasu i poglądu, myśli i czucia. Reprezentuje dwa obce światy.

Gazeta z ilustracjami przechodzi z ręki do ręki. Te imponujące rzeźby drażnią teraz i zastanawiają. Absorbują uwagę jeńców, nie kształtem już, a zagadnieniem.

W porównaniu z ciałem archanioła i jego rodinowskim odpowiednikiem w sztuce wydają się ci nadzy marmurowi Niemcy trochę właściwie nieludzcy, brutalni i nieużyci, jacyś rażąco bezwzględni. I bardzo przyziemni zarazem.

— To jeszcze nie dzieło sztuki. To tylko patetyczny nudyzm.

— Bo widzisz, można stać nago na postumencie w dowolnej pozie, ale nie wolno stać nago na baczność. A u Breckera, patrz, wszyscy na baczność. Albo z gestami bohaterów nie czynu, ani ducha, ale musztry.

Każdą taką apoteozę dyscypliny rozsadza w dodaktu pycha. Przebija z każdej aurą „Deutschland über alles".

Tak, to nie jest ciało bezinteresowne. To jest programowy pretekst. Ilustracja ideologii, nic więcej. Próba stworzenie mitu. Ci chorążowie o sztucznych gestach, ci myśliciele bez inteligencji, ci sygnaliści poświęceń o sfałszowanym grymasie twarzy i doskonałych mięśniach wszyscy do siebie podobni — oto ideał gatunku. Wybudowani na miarę półbogów, bez przejścia przez stadium człowieka. Na tym polega nieporozumienie. I twoja wyższość archaniele. I nasza wyższość, kiedy patrzymy na ciebie i widzimy w tobie nie mit żaden, a po prostu urodę jednego z ludzi. Może wyraz ich tęsknot, do piękna? Ich pędu do doskonałości? To te skrzydła, których nie mają, choćby je w sobie czuli.

Rozmowa powraca znowu do niemieckich pomników.

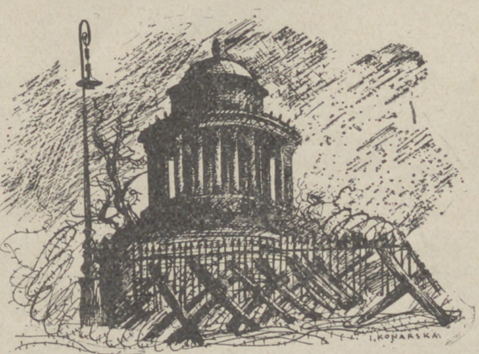
— Mogliby zamiast liści figowych nosić swastykę — pada uwaga.

— Ale czego im brakuje? Bo przecież nie liści figowych. Niemcy także nie boją się seksu. To nie Rzym i nie pruderia Watykanu, której marmurowi atleci, zdobiący forum Mussoliniego, zawdzięczali, każdy z osobna, gipsową, śmieszną przylepkę — ów niby listek na tradycyjnym miejscu. Bo stali czas jakiś bez. I gorszono się, że bezwstydni.

— Czego im brakuje? — podchwycił archanioł, pewien swojej inności, a szukający jeszcze jej wyrazu i definicji.

Odpowiedź wyrwała się sama. Jeniec mówiący tym razem odwrócony był plecami do słońca, nie zabierał dotąd głosu, niedbale spojrzał w gazetę.

— Ja wiem i ja wam powiem. Nie trzeba daleko szukać. Tym niemieckim, nagim półbogom brakuje jednego tylko, aby byli w pełni doskonali. Brak na tych gołych ciałach po prostu mundurów i odznak żołnierzy formacji S.S.



SPIS RZECZY

3/- 3/-

Published by „Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY) 83-91 Great Titchfield Street London W 1

Polish ARTISTS in Great Britain



Cena 5/6

Cena 5/6